

**Katherine Granger**

**Miejsce pod słońcem**

## Rozdział 1

Libby Peterson stała na werandzie zajazdu „Pod Krzakiem Róży”, rozkoszując się ciszą poranka. Spokój zakłócał jedynie cichy szum morza i brzęczenie pszczoł w krzakach róż porastających ściany. Na trawniku wygrzewała się Buttermilk – tłusta, żółta kotka całkowicie obojętna na zaczepki swych czteromiesięcznych kociąt. Na prawo od werandy, gdzie trawnik lekko opadał w stronę morza, krzewy poruszały się w porannej bryzie. Na cichych wodach zatoki Przylądka Dorsza płynęła samotna żaglówka. Jej błyszczący, czerwony żagiel wyglądał niczym rozpostarta flaga na bezkresnym horyzoncie.

Libby zgarnęła do tyłu długie, jasne włosy i odetchnęła głęboko powietrzem przesyconym zapachem róż i morza. Czuła się zadowolona. To była jej ulubiona pora dnia, zwłaszcza gdy przypadała na czerwiec.

Zajazd właśnie w tym czasie wyglądał najlepiej. Powietrze było ciepłe, ale jeszcze nie parne, co stawało się dokuczliwe w czasie dnia. Dom z białymi okiennicami i zielonymi zasłonami stał na pięcioakrowej posiadłości na północnym brzegu Przylądka Dorsza. Szeroka weranda z wiklinowymi meblami zapraszała do wnętrza.

Libby wyciągnęła z kieszeni zmięty list. Był od Deirdre,

koleżanki, z którą za czasów szkolnych mieszkała w jednym pokoju, obecnie – redaktorką jednego z czołowych magazynów poświęconych dekoracji *Home and Hearth*. Deirdre po krótkim pobycie u Libby postanowiła wydrukować obszerny artykuł o zajeździe. List był tego potwierdzeniem.

Libby uśmiechnęła się, przebiegając wzrokiem kilka linijek.

Treść i forma listu charakteryzowały żywiołową osobowość autorki.

*„Droga Libby!*

*Postanowione! Mój wydawca zgodził się na artykuł. Przyjeżdżam z fotografem i asystentką w poniedziałek. 24 czerwca. Zatrzymamy się na jakieś trzy dni. Przydałoby się co nieco ponaprawiać i skończyć te roboty, o których mówiłyśmy. Zadzwoń wkrótce, by potwierdzić rezerwację pokoi.”*

Krytycznym wzrokiem przebiegła po ramach werandy. Z daleka wyglądały biało i świeżo, lecz z bliska wyraźnie było widać popekaną farbę. Malowanie okiennic zaplanowała na wrzesień, jednakże w tej sytuacji trzeba to zrobić teraz. Obszerny trawnik wymagał dokładnego wystrzyżenia. Warto też przyciąć krzewy, a kwietnik i warzywnik dokładnie wyciąć.

Libby westchnęła głęboko, pamiętała bowiem bardzo dobrze

kolumny cyfr. Studiowała je zeszłej nocy, starając się znaleźć sposób zdobycia pieniędzy na wykonanie koniecznych prac i to przed dwudziestym czwartym czerwca, czyli za dwa tygodnie. Nie miała pieniędzy. Zima i wczesna wiosna nie są dobrą porą dla właścicieli zajazdów na Przylądku. Pieniądze zarobione w lecie pozwoliły jej jako tako przetrwać ostatnie miesiące. W tej chwili nie miała prawie nic.

Schowała list do kieszeni. Powinna już zapłacić za farbę, a tu musi przekonać malarza i stolarza, by jeszcze trochę poczekali na pieniądze.

– No cóż – powiedziała sama do siebie. – Sprawy się jakoś ułożą. Zawsze tak było.

Uklękła na trawie, wzięła w dłonie jednego kociaka i delikatnie podrapała go pod brodą, szepcząc czule do rozgrzanego słońcem skłębionego futerka. Zwierzątko wyprężyło grzbiet, przeciągnęło się i aksamitnymi łapami potarło jej dłonie. Libby ze śmiechem zagłębiła twarz w puszystej sierści, a potem posadziła je na ziemi, by mogło dołączyć do swego rodzeństwa.

Buttermilk łaskawym okiem obserwowała figle swych pociech. Libby podeszła do niej, chcąc i ją pogłaskać, ale w tym momencie poczuła, że nienawidzi tej matki-kotki; to przecież Libby chciała mieć dzieci baraszkujące na trawniku i mężczyznę, z którym mogłaby je mieć...

Nagle spostrzegła jakiś cień na ścieżce. Zdziwiona obróciła się, patrząc pod słońce. Zobaczyła jedynie kształt męskiej postaci. Dłonią osłoniła oczy, by lepiej widzieć. Pomogło. Przed nią stał wysoki, muskularny, z nierówno przyciętymi włosami opadającymi na czoło, nieznany mężczyzna, ubrany w czarną podkoszulkę podkreślającą umięśnioną figurę oraz znoszone dżinsy opinające szczupłe biodra. Widać było, że nie golił się od kilku dni.

Nie przestraszyła się na jego widok. Nie czuła żadnego zagrożenia z jego strony. Dokładnie przyjrzała się jego twarzy: miał dobrze uformowany nos, ładny wykrój ust oraz zimne oczy, których kolor przypominał ocean w zimowy sztorm.

Zaskoczona poczuła dziwny zawrót głowy, coś – jakby wchłanianie przez lodowate morze. Otrząsnęła się szybko i wyciągnęła do przybysza rękę.

– Dzień dobry – rzekła ciepłym głosem.

– Wyrwał mnie pan ze snu na jawie. Mogę w czymś pomóc? Jestem Libby Peterson, właścicielka zajazdu.

Uścisnął jej rękę. Poczuła przez moment ciepłą i twardą dłoń mężczyzny.

– Pani Peterson, szedłem właśnie szosą i zauważyłem szyld tego zajazdu. Spodobała mi się nazwa, więc się zatrzymałem.

Przyglądał się otoczeniu. Musiał zauważyć, że trawnik wymaga

strzyżenia, a ogród – pielienia. Kiedy przeniósł wzrok na budynek, wyglądało to tak, jakby przyglądał się spękanej farbie i spłowiałym żaluzjom.

– Szukam pracy – rzekł w końcu.

Zdziwiona spojrzała na niego uważnie.

Czyżby to był anioł posłany przez dobrego Boga w chwili, gdy go tak bardzo potrzebowała? Ale aniołowie nie przybierają chyba takich postaci?

– Jak pan zapewne zauważył, potrzebuję pomocy – powiedziała. – Prowadzenie zajazdu przez jedną osobę nie jest proste.

– Sama go pani prowadzi? – spytał, mrużąc oczy. – Z szyldu wyczytałem, że właścicielami zajazdu są Libby i Joe Peterson.

– Joe to mój mąż – rzekła spokojnie. – Zmarł trzy lata temu, a ja byłam tak strasznie zajęta, że nie miałam czasu tego zmienić.

Spojrzała na niego, chcąc sprawdzić, czy domyśla się rzeczywistego powodu długiej zwłoki. Z jego oczu nie mogła nic wyczytać.

– Jeśli pani zechce, zrobię nową tabliczkę – odrzekł. – Kiedyś robiłem takie rzeźbione...

Rzeźbione tablice, tak, wiedziała – to było coś charakterystycznego dla tych okolic.

– Jest pan z tych stron?

– Urodziłem się w South Yarmouth, ale wyjechałem stąd osiemnaście lat temu.

– Rozumiem.

Coś w tym człowieku ją zaniepokoiło. Ale jeżeli potrafi malować, strzyc trawniki, porządkować ogród, to przeczucia się nie liczą.

– Jest tu dość dużo do roboty. Potrzebuję kogoś, kto pomógłby mi przez najbliższe kilka tygodni.

– Mogę pomalować dom, wyplewić ogród, uzupełnić ogrodzenie. Potrafię również murować. Nie nadaję się jedynie do gotowania.

Libby nie zauważyła w jego uśmiechu żadnego ciepła. Cóż, może sobie być surowy, byleby jego słowa sprawdziły się w rzeczywistości.

– Nie stać mnie na płacenie wysokiego wynagrodzenia – rzekła.

– Nie żądam wiele – odpowiedział. – Minimalne wynagrodzenie, jedzenie i spanie całkowicie mnie zadowolą. Włóczyłem się po kraju przez cały rok, więc teraz chciałbym się zatrzymać na jakiś czas. Mogę tu zostać na całe lato, jeśli będzie mnie pani potrzebowała. Płacić może mi pani raz w tygodniu.

Wyżywienie i spanie? Chce więcej, niż może mu zaoferować. Z drugiej strony dobrze mieć pod ręką mężczyznę do pomocy. Ciągle musiała kogoś wynajmować, dużo płaciła, nie mając żadnej

pewności, że praca jest dobrze zrobiona. Ten muskularny człowiek o smutnych oczach był odpowiedzią na jej modlitwy. Wydawało się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

– Ma pan może jakieś referencje, panie... ?

– Mason – powiedział. – Rush Mason.

Wyjął zniszczony portfel z kieszeni spodni i podał jej poplamioną wizytówkę.

– Może pani zadzwonić do tego człowieka.

Wizytówka należała do Alexa Castle, wiceprezydenta nowojorskiej firmy RJM.

– Pracował pan dla pana Castle? – spytała.

Coś na kształt rozbawienia błysnęło w jego oczach.

– Pracowaliśmy razem przez długie lata – powiedział głośno i pomyślał: „Pracowałem z Alexem Castle, a nie dla niego”

Zmarszczyła czoło i starała się odgadnąć, co mogło spowodować, że jego oczy stały się tak tajemnicze.

– Postaram się skontaktować z panem Castle.

– Wrócę pod wieczór, dobrze? Zawahała się na moment, ale odrzekła:

– W porządku, panie Mason. Proszę przyjść o piątej. Do tego czasu spróbuję skontaktować się z panem Castle.

Rush skłonił się niezgrabnie, po czym ruszył w kierunku wyjścia. Libby z przyjemnością patrzyła na jego długie nogi i



szerokie ramiona. Silny, milczący typ, właśnie takiego sobie wymarzyła. Zdecydowanie ruszyła do domu, by natychmiast zadzwonić do Alexa Castle.

Dziesięć minut później głos Alexa zabrzmiał w słuchawce:

– Rush Mason? Tak, znam go dobrze. Jaką pracę pani mu oferuje?

Libby przycisnęła słuchawkę ramieniem.

– Prowadzę zajazd na Przylądku Dorsza – powiedziała. – Pan Mason chce mi pomóc w drobnych pracach typu naprawy, malowanie, koszenie trawy i innych drobnych rzeczach. W zamian oferuję mu spanie, jedzenie i niewielką stawkę za godzinę.

– A niech to diabli..! – Chrząknął, starając się ukryć zaskoczenie. – Przepraszam, pani Peterson, ale zaskoczył mnie jego powrót na Przylądek.

– Czy to coś dziwnego? – spytała. – Mówił mi, że tu się wychował.

– Tak, to prawda. A wracając do pani poprzedniego pytania, oczywiście, bardzo go polecam. Jest uczciwy, jak mało kto.

– Skąd pan go zna? Pracował dla pana? Alex zawahał się przez chwilę.

– Znam go od dwudziestu lat. Pracował w hotelarstwie. Proszę mi wierzyć, nie będzie pani żałowała, że go zatrudnia.

– W hotelarstwie – powtórzyła głośno.

– Czy zajmował jakieś odpowiedzialne stanowisko? – spytała wprost. Alex Castle stłumił śmiech.

– Można to tak nazwać.

Libby zmarszczyła czoło; czuła, że sprawa Rusha Masona wykracza znacznie poza to, co usłyszała od Alexa.

– Dobrze, dziękuję że zechciał pan poświęcić mi trochę czasu.

– Pani Peterson, tak przy okazji, proszę mu powiedzieć, aby skontaktował się ze mną. Od miesiąca nie miałem od niego żadnej informacji, a chciałbym wiedzieć na bieżąco, co się z nim dzieje.

– Dobrze. Czy na koniec mógłby mi pan zdradzić, co pana łączy z Rushem Masonem?

Alex zawahał się.

– Jest moim przyjacielem. Pracowaliśmy razem długi czas.

„Tak się sprawy mają: Rush pracował z Alexem Castle, nie dla niego”.

– Jeszcze raz dziękuję, panie Castle.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Libby odłożyła słuchawkę i usiadła przy biurku. Jak przypuszczała, Rush nie był podrzędnym urzędnikiem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa należał co najmniej do średniego kierownictwa firmy RJM. Mógł nie z własnej winy stracić pracę, co spowodowało to rozgoryczenie wobec całego świata. Potrzebował teraz pomocnej dłoni, dokładnie jak ona...

Rush wpatrywał się w szyld zawieszony na cedrowym słupie: ZAJAZD „POD KRZAKIEM RÓŻY” – WŁAŚCICIELE: LIBBY I JOE PETERSON. Cóż takiego w tym napisie przyciągnęło jego uwagę? Postanowił już wyjechać do Nowego Jorku, przyznając rację Thomasowi Wolfe. Nie należy wracać do stron rodzinnych. Wszystko zastaje się zmienione – nigdy na lepsze.

Nie był tu od osiemnastu lat, a to, co zastał w Hyannis i South Yarmouth, gdzie się wychował, w ogóle nie przypadło mu do gustu.

Długie szeregi czynszowych kamienic mieszczące najrozmaitsze sklepy nastawione na turystę, skrawki ziemi z rozgrzebanymi budowlami, bary szybkiej obsługi nastawione na duży obrót, wreszcie ruch uliczny ze swoim hałasem i smrodem zatruwającym morskie powietrze.

Wszystko to przyprawiało go o mdłości.

Udał się więc na północ wzdłuż szosy A6, gdzie wypatrzył ten szyld. Co spowodowało, że tego ranka zmienił kierunek swej wędrówki?

Szedł podjazdem. Wokół zalegała cisza przerywana tylko dalekim pomrukiem zatoki i graniem cykad w gęstym, sosnowym zagajniku oddzielającym zajazd do drogi. Minął łagodny zakręt i ponownie zobaczył zajazd: najpierw trawnik, a potem piętrowy dom ginący częściowo w wysokich krzewach róż, przez które

przeblyskiwało odbite w oknach słońce.

Z zachwytem patrzył na ten obraz: tonący w różach dom, falująca w podmuchach bryzy trawa i w dali zatoka. Tu przetrwał Przylądek, jakim go zapamiętał: kraj powietrza pachnącego solą, sosnowych zagajników, krzewów dzikich róż, ciągnących się wydm i plaż, cichych przystani i spokojnych wiejskich dróg.

Poranna tęsknota zaczęła znów dawać o sobie znać. Wystarczyło zamknąć oczy, by poczuć się na nowo siedmioletnim chłopcem biegającym po plaży w poszukiwaniu muszli.

Czyżby to był powód, dla którego dziś rano podszedł do kobiety siedzącej na trawie i bawiącej się kociątkami? Może irracjonalna nadzieja, że odnajdzie Przylądek swoich młodych lat, a co za tym idzie – wszystko, co stracił w życiu?

Westchnął. Wiedział, że w wieku trzydziestu siedmiu lat młodość ma dawno za sobą. Zdawał sobie też sprawę, iż niemożliwe jest odnalezienie atmosfery Przylądka z tamtych lat.

Ruszył w kierunku zajazdu i Libby Peterson.

Libby – podobało mu się to imię: słoneczne i wietrzne. Pasowało do niej. Zapraszało go, jak jej zajazd.

Podszedł do stopni werandy i w tym momencie poczuł, jak bardzo mu zależy na pracy u niej. Ale jak na tę wiadomość zareagują jego przyjaciele i współpracownicy? Powiedzą zapewne, że stracił rozum i dał się ponieść emocjom.

Czy to miało jakieś znaczenie? Czy kiedykolwiek liczył się z tym, co ludzie o nim myślą? Od dzieciństwa obdarzony energią i siłą, nie uznawał przeszkód. Jeśli spostrzegł coś godnego posiadania, robił wszystko, by to zdobyć. I niemal zawsze mu się udawało.

Coś jednak stracił. Ale co?

Kiedy opuszczał Przylądek ponad osiemnaście lat temu, pozostawił tu nie tylko piękne widoki. Stopniowo przez lata zamierało w nim coś żywego, aż rok temu zdecydował się zmienić kierunek swych dążeń. Usiłował to odnaleźć. Jeszcze bez skutku.

Ruszył w kierunku zajazdu. Libby stała we frontowych drzwiach i czekała na niego. Coś zakłuło go w sercu, gdy przypomniał sobie, jak wyglądała rano, siedząc na trawniku i bawiąc się z kotem. Stał za nią, obserwował ją dość długo, by pod wpływem niezrozumiałego impulsu zbliżyć się do niej i poprosić o pracę.

Dlaczego to zrobił? Przecież nigdy nie poddawał się emocjom. Przez całe życie z rozwagą planował każdy krok. Nic nie pozostawiał przypadkowi. Do dzisiejszego ranka, do momentu, kiedy Libby uśmiechnęła się do niego i wywróciła mu jego świat do góry nogami.

## Rozdział 2

Libby obserwując nadchodzącego Masona, odniosła wrażenie, że sam jego wygląd budzi zainteresowanie. Był męski od stóp do głowy.

Jego powierzchowność sugerowała siłę, a zachowanie mówiło o opanowaniu. Instyktownie wyczuwała w nim człowieka, który nie musi podnosić głosu, by zwrócić na siebie uwagę otoczenia.

Intrygował ją. Co go tu sprowadza? Dlaczego prosi o tak pospolite zajęcie? Jego kłopoty są jednak jej wygraną, ale nie potrafiła wyobrazić go sobie w roli, jaką mu chciała zaproponować.

Otworzyła drzwi w momencie, gdy stanął na pierwszym stopniu. Wolałaby, żeby nie był tak bardzo pociągający. Stojąc koło niego, poczuła się kobietą, a to nie zdarzało się jej często przez ostatnie trzy lata.

– Wrócił pan?

– Chciałbym dostać tę pracę.

Niepokoilo ją jego bezpośrednie spojrzenie. Zauważyła zmarszczki w kącikach ust i pod oczami oraz małą bliznę nad prawą brwią, a przede wszystkim – dziwną czujność w szarych oczach.

– Rozmawiałam z panem Castle – powiedziała bez wstępu. –

Polecił mi pana, wobec czego jest pan zatrudniony.

„Czyżby odetchnął z ulgą?” – pomyślała.

– Cieszę się. Mogę zacząć od zaraz.

Jego gorliwość w chęci wypełnienia obowiązków wywołała rumieniec na jej twarzy, co wprowadziło ją w jeszcze większe zakłopotanie. Drżącymi palcami chwyciła pasemko włosów zza ucha. Jego wzrok podążył za tym ruchem.

– Dobrze. To mamy załatwione. Zamieszka pan w hangarze, tuż nad wodą. Nie ma tam kuchni, więc posiłki będziemy jadali wspólnie.

– Może mi pani płacić w piątek – powiedział. – Jakaś minimalną stawkę za ośmiogodzinny dzień pracy. Soboty chciałbym mieć wolne. Jedzenie i spanie, jak uzgodniliśmy – raczej stwierdził, niż zapytał. Spojrzała na niego zaskoczona: on jej dyktuje warunki. Musi zadbać o swój autorytet, bo inaczej to ona jego będzie słuchała.

– Wspomniał pan, że może zostać do końca lata. Ta propozycja bardzo mi odpowiada, bo właśnie w lecie jest tu najwięcej roboty.

– Mogę tu zostać do weekendu po Dniu Pracy\* [W Stanach Zjednoczonych – pierwszy poniedziałek września (przyp. tłum. )] – rzekł, wyciągając do niej rękę.

Uścisnęła ją. Była taka, jaką ją zapamiętała: wielka, ciepła, z twardymi odciskami. Ogromna w porównaniu z jej dłonią.

– To bardzo dobrze – rzekła, schodząc ze schodów. – Jeżeli pan pozwoli, to zaprowadzę pana do hangaru i pomogę się urządzić. Pościel przyniosę trochę później.

Szła szybko, jakby w pośpiechu szukała ucieczki.

– To piękne miejsce – rzekł.

– Tak! Bardzo je lubię. Nigdy nie czuję się tutaj zmęczona. Jest tu pięknie nawet w zimie, chociaż moim ulubionym miesiącem jest czerwiec.

– Ponieważ kwitną róże?

– Tak, właśnie dlatego. Piaszczystą ścieżką doszli nad zatokę.

Przed sobą mieli hangar, opuszczony i zamknięty, ze spiczastym dachem i kominem rysującym się na tle nieba.

Libby odetchnęła głęboko; . piękno tego miejsca zawsze ją wzruszało.

– Lubię czerwiec, bo w powietrzu unosi się coś obiecującego. Robi się coraz cieplej, a słońce wędruje wysoko po niebie – rzekła. – Pokochałam to miejsce od pierwszego dnia, w którym je zobaczyłam. Tu panuje taki spokój.

Spostrzegła, że przygląda się jej uważnie. Poczwała się nieswojo z powodu osobistych wynurzeń.

– To jest ten hangar – rzekła. – Całą zimę okna były pozamykane, więc powietrze jest trochę stęchłe. Trzeba otworzyć okna i trochę przewietrzyć pomieszczenie.



– Jestem pewny, że wszystko w porządku – rzekł Rush.

Jej ręce drżały, gdy otwierała drzwi.

Jak podejrzewała, pomieszczenie było wilgotne, zimne i nieco ponure. Otworzyła okiennice, by wpuścić powietrze i słońce. Umieblowane było mizernie: metalowe łóżko z gołym materacem, szafka, nocny stolik, krzesło z oparciem i niewielka kanapa przy kominku. Gdy uporowała się z ostatnim oknem, spojrzała na Rusha stojącego w drzwiach. Jego ogromna postać wypełniała całe wejście.

Rush podszedł do okna, otworzył je na oścież i wciągnął do płuc słońce, morskie powietrze. Potem odwrócił się do niej i rzekł:

– To mi całkowicie odpowiada. Odetchnęła z ulgą; bardzo jej zależało na jego aprobacie.

– Łazienka jest tutaj – rzekła, otwierając drzwi – z wanną, prysznicem i...

Wszedł za nią do pomieszczenia. Ich wzrok spotkał się w lustrze, więc by pokryć zmieszanie, szybko zajrzała do szafki.

– Przyniosę ręczniki – rzekła. – Może coś jeszcze? Popielniczkę? Jakieś czasopisma?

– Nie palę i na pewno nie będę w stanie czytać po dniu ciężkiej pracy.

Wieczorami ona też się tak czuła.

Ale zdarzały się noce, podczas których przewracała się z boku

na bok, tęskniąc za obecnością mężczyzny w swym wielkim i pustym łóżku. Spojrzała na stojące tutaj małe, jednoosobowe łóżko, w którym ma spać Rush. Czy on także będzie odczuwał brak...

Przestraszona śmiałością swych myśli poczuła gwałtowny rumieniec. Szybko przeszła z powrotem do pokoju.

– Pójdę po pościel i ręczniki, panie Mason – rzekła, idąc w kierunku drzwi.

Nie słysząc żadnego potwierdzenia, odwróciła się i w tym momencie ich wzrok spotkał się ponownie i znowu zabiło jej serce.

– Życzę przyjemnego dnia – panie Mason – rzekła w końcu.

– Dziękuję, pani Peterson. – Ukłonił się z wyszukaną elegancją.

Po godzinie mogła wrócić do hangaru. Wytłumaczyła sobie, że Rush działa na nią tak silnie, bo nie jest przyzwyczajona do bliskiej obecności mężczyzn. A już na pewno nie mężczyzn tego pokroju. Stary Fred Carpenter, który czasem jej pomagał, czy czternastoletni Joey Jensen, to całkiem co innego Libby zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiadał, więc zawołała:

– Panie Mason, przyniosłam ręczniki i pościel!

Nacisnęła klamkę i drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Pokój był pusty. Zauważyła, że przez godzinę zdążył zamieść podłogę, powycierać kurze i rozpakować swoje rzeczy. Położyła

prześcieradła na łóżku i podeszła do nocnego stolika, na którym leżała książka. Był to „Daleki dom” Henry Bestona – wspomnienie roku, jaki autor spędził w małym, wiejskim domku na bezludnej plaży Przylądka Dorsza na początku dwudziestego wieku.

Jej ulubiona książka. Po raz pierwszy czytała ją jako nastolatka, gdy z rodzicami spędzała tu wakacje. Wówczas cudowna proza Bestona pomogła jej dostrzec naturalne piękno Przylądka.

Odłożyła książkę na stolik i zaniósła ręczniki do łazienki. Tam również było posprzątane. Przybory do golenia w skórzanym futerale, tubka pasty do zębów, tani dezodorant, brzytwa – wszystko leżało równo poukładane.

Włożyła kilka rolek papieru toaletowego do szafki, powiesiła kilka białych ręczników na drzwiach i wyszła z łazienki. Otworzyła szafę w pokoju. Zobaczyła jedną, białą koszulę, parę spodni i starannie wyczyszczone buty. Plecak wisiał na wieszaku na haku na wewnętrznej stronie drzwi. I nic więcej.

Zdziwiona rozejrzała się po pokoju. Dlaczego zdecydował się na prowadzenie życia w surowym pomieszczeniu przypominającym raczej celę zakonnika niż pokój mieszkalny? Wzdrygnęła się: to nie jej interes – Rush Mason zatrzymał się tu, by pracować. Ona nie będzie mu zadawała żadnych pytań.

To ostatnie zdanie powtarzała sobie po cichu podczas

powrotnej drogi do zajazdu, jakby chciała siebie o tym przekonać. Wiedziała jednocześnie, że to nie będzie takie łatwe.

Tuż przed siódmą do zajazdu przybyły dwie pary.

Libby poprosiła o wpisanie się do książki gości, wręczyła klucze i pokazała pokoje. Podczas nieobecności gości wniosła do recepcji wiaderko z lodem i miksery. Wychodziła z założenia, że prowadzenie zajazdu przypomina przyjmowanie przyjaciół – jeśli się chce, by wracali, muszą się czuć mile widziani i obsłużeni.

Gdy goście zeszli na dół, Libby dołączyła do nich na drinka. Po przejrzaniu jadłospisów Libby zebrała zamówienia i udała się do kuchni. Pchnęła wahadłowe drzwi i ku swemu zdziwieniu zobaczyła Rusha z filiżanką parującej kawy w ręce.

– Pan tutaj?

– Przepraszam, jeżeli gospodarzę się tu jak w domu. Mówiła pani, że będziemy razem jadałi. Ale nie podała pani godzin...

– Byłam zajęta gośćmi – rzekła i podeszła do lodówki. – Pan pewnie głodny?

Wyłożyła z lodówki paczkę filetów rybnych, czując się nieswojo we własnej kuchni.

– Śniadanie jest o siódmej – rzekła, wyjmując chleb z szafy. – Połykam je zwykle podczas przygotowywania śniadania dla gości. Lunch zawsze w południe, zaś kolacja nie ma określonej godziny. Zależy od tego, ilu mamy gości i o jakiej porze przyjeżdżają.

Rush postawił filiżankę.

– Wygląda na to, że potrzebuje pani nie tylko malarza. Również kucharza. Niech mi pani pozwoli to zrobić – rzekł, wyjmując jej filety z rąk. – Wychowałem się na Przylądku. Dam sobie radę ze smaženiem ryb.

Zaskoczona jego bezpośredniością nie potrafiła ruszyć się z miejsca. Bliskość mężczyzny przyprawiała ją o szybsze bicie serca.

Odwróciła się i znów podeszła do lodówki; wyjęła warzywa na sałatkę. Tłumaczyła sobie, że to głupie tracić panowanie nad sobą na widok pierwszego lepszego mężczyzny. Jedynym rozwiązaniem jest nie zwracać na niego uwagi, ale jak to zrobić...

– Zaniiosłam pościel i ręczniki do hangaru – powiedziała cokolwiek, by zmniejszyć tkwiące w niej napięcie.

– Widziałem, dziękuję. Oczekiwała, że powie coś więcej, jednak nadaremnie.

– Zauważyłam na stoliku „Daleki dom” Bestona. To jedna z moich ulubionych książek. Czytałam ją po raz pierwszy, gdy byłam jeszcze podlotkiem. Do dzisiaj pamiętam odczucia Doroty, gdy wspinała się na Oz.

– To jest chyba jedyna książka, w której Beston pisze o Przylądku Dorsza – rzekł Mason szorstko. – Według mnie to bajeczki.

– Co pan przez to rozumie? – spytała zaskoczona tonem jego głosu.

– Tylko tyle, że Przylądek, o którym Beston pisze, od dawna nie istnieje.

– Ależ nie – powiedziała z uśmiechem. – Na miłość boską! Wystarczy wyjść przez te drzwi, by się o tym przekonać.

– Tutaj owszem. Natomiast trochę dalej stąd Przylądek umiera! Za dziesięć lat będzie tu tylko przedmieście Bostonu. Wyschną słone bagna, wysypiska śmieci zatrują wody gruntowe; tyle z tego zostanie.

Libby poczuła się dotknięta.

– Nie zgadzam się z panem, panie Mason – wyrzuciła z siebie.

Ton jej odpowiedzi sprowokował go do kontynuacji.

– Niech pani otworzy oczy i przestanie się oszukiwać. Wyjechałem stąd osiemnaście lat temu i przez ten czas Przylądek zmienił się nie do poznania. Kiedyś można było jechać całe mile i nie napotkać domu. Obecnie obie strony każdej szosy zatłoczone są sklepikami z pamiątkami i różnymi duperelami. Te pani kilka akrów to pozorna wyspa spokoju, otoczona w rzeczywistości centrami handlowymi i barami rozrywkowymi.

– To prawda, że Przylądek się zmienia. Ale to wcale nie znaczy, że wszystko musi przepaść. Wiemy, że czekają nas problemy z wodą, odpadkami, lecz nade wszystko zdajemy sobie

sprawę, że musimy uchronić to miejsce, by nasze dzieci odziedziczyły po nas jego piękno.

– Wszystko to tylko czcze gadanie. Pani nadmierny optymizm niczego nie zmieni.

– To nie żaden optymizm – rzuciła podniecona. – To rzeczywistość. Mieszkańcy Przylądka swą przyszłość muszą wziąć w swoje ręce. Do władz należy wybrać ludzi, którzy zadbają o dobro całego Przylądka, a nie tylko uprzywilejowanej grupy. Miasta zaczynają współpracować w rozwiązaniu problemów całego regionu.

Kpiący uśmiech skrzywił mu wargi.

– Pani jest marzycielką. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nieprawda! Jestem realistką. Nie rozwiązuje się tutejszych problemów odchodząc stąd. Trzeba twardo zaprzeć się nogami w tę ziemię...

– Chylę więc czoło przed kobietą, która ma tak zdecydowane przekonania. – Ukłonił się z galanterią.

Była zadowolona z pasji i odwagi, z jaką broniła swych przekonań. Wiedziała, że zdobyła jego uznanie a nawet podziw. Jako kobieta również.

Po tylu latach samotności nareszcie coś przyjemnego, ale i zarazem niepokojącego. Nie chciała bowiem przeżywać przelotnej przygody. Nie mogła dopuścić, by Rush Mason zamieszał w jej

życiu.



## Rozdział 3

Libby zasiadła do kolacji z mocnym postanowieniem prowadzenia rozmowy na jeden temat: prac, które należy wykonać w najbliższym czasie.

– Przede wszystkim powinien pan wiedzieć, panie Mason, że dwudziestego czwartego zjawią się tutaj filmowcy z magazynu *Home and Hearth*. Zatrzymają się na trzy dni, by porobić zdjęcia i zebrać materiał do przygotowywanego artykułu. Sama nie wiem, od czego zacząć porządki...

Zmarszczyła czoło zatroskana.

– Dziś po południu obejrzałem całe obejście i najpierw, jeśli wolno mi radzić, skoncentrowałbym się na szczegółach, które może wychwycić kamera – rzekł Mason.

– Przy tej okazji planowałam pomalować cały dom, ale chyba ograniczymy się do odnowienia okiennic. Przez sześć lat farba zdążyła się wykruszyć. – Jeszcze głębsze zmarszczki pokryły jej czoło. – To samo odnosi się do ram i poręczy na werandzie, podłóg i schodów, malowanych jeszcze przez Joego. Wyglądają dobrze z daleka, lecz gdy podejdzie się bliżej, widać, jak mocno popekana jest farba.

– Czy Joe to pani zmarły mąż? – spytał Rush nagle.

– Tak, zmarł na raka trzy lata temu.

– I od tego czasu pani sama prowadzi ten zajazd?

Skinęła głową i wzięła na widelec kawałek ryby; w jego oczach dostrzegła jakby podziw.

– W tamtym czasie praca wydawała mi się zbawiennym rozwiązaniem – rzekła śmiejąc się. – Kiedy się jest właścicielką zajazdu, to ma się pracy w bród. Na początku było mi ciężko. Rachunki za leczenie pochłonęły wszystkie oszczędności – przerwała nagle, spostrzegłszy, że opowiada o swoich kłopotach finansowych.

– Rozumiem – rzekł cicho, a jego szare oczy nabrały w końcu ciepła. – Rachunki za leczenie rzeczywiście mogą pochłonąć majątek.

Było zadziwiające, jak kojąco na nią działał. Nie czuła się już zakłopotana, rozmawiając z nim na takie tematy, których nie poruszała nawet z najbliższymi przyjaciółmi.

– Jakoś dałam sobie radę – rzekła. – Wracając do tematu, co pan uważa za konieczne do zrobienia przed przyjazdem Deirdre?

– Deirdre?

– Deirdre Reynolds jest moją starą przyjaciółką ze szkoły, a obecnie redaktorem magazynu *Home and Hearth*. Odwiedziła mnie kilka tygodni temu i postanowiła napisać artykuł o moim zajazdzie. Zastanawiałam się właśnie, czy sama dam sobie radę, kiedy pan spytał, czy nie potrzebuję kogoś do pomocy. Cieszę się,

że pan znalazł się tutaj.

– Czy wierzy pani w przeznaczenie? – spytał z utkwionym w niej wzrokiem. – To, że pewne rzeczy dzieją się, że muszą się zdarzyć...

– Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale dlaczego pan pyta?

– Tak, bez specjalnego powodu. Wiedziała, że zadawanie dalszych pytań jest bezcelowe. Podjęła więc przerwany wątek:

– Oprócz malowania, trzeba oczyścić rynny z zeszłorocznych liści. Krzewy rozrastają się dziko – nikt ich nie przycinał od dwóch lat. Na dodatek w mojej łazience cieknie kran. Naprawdę nie wiem, od czego zacząć.

– Jeżeli pani pozwoli, obejrzę sobie wszystkie te miejsca i ustalę dokładnie kolejność prac. Potem to już tylko kwestia pracy i narzędzi. Chyba ma pani jakieś pędzle, nożyce, młotki?

– Narzędzia? Pewnie coś tu jest, ale tak naprawdę, to nie wiem. Byłam tak zajęta prowadzeniem zajazdu, że nie miałam czasu zajmować się narzędziami. Wynajmowałam fachowców, którzy przychodzili z własnymi.

– W porządku. Niech się pani już nie martwi tymi sprawami. Teraz ma pani od tego mężczyznę...

Spłynęła po niej fala gorąca. Co on sobie wyobraża? Że kim ona jest? Bezradną babą? Podniosła głowę w wojowniczym geście

i rzekła:

– Dotychczas całkiem nieźle sama dawałam sobie radę, panie Mason.

– Jestem tego absolutnie pewny, pani Peterson.

– Na wszelki wypadek chcę pana zapewnić, że świetnie radziłam sobie bez mężczyzn. I robiłabym to dalej, gdyby pan tu się nie pojawił.

Skrzyżował ręce na muskularnej piersi. Spojrzała na jego żylaste ramiona. Poczowała dziwny skurcz w żołądku. Podniosła wzrok i napotkała jego kpiące oczy.

– Jestem przekonany o prawdzie pani słów, ale jestem również pewien, że wolałaby pani robić to wspólnie z mężczyzną.

Zmieszana odsunęła krzesło.

– Jutro po południu jadę do Wareham – rzekła, czując gwałtowne uderzenia pulsu. – Jeśli musi pan kupić jakieś narzędzia, mogę podrzucić pana do sklepu.

Wstał z krzesła i wziął pusty talerz.

– Świetnie – odpowiedział. – To był bardzo męczący dzień. Pójdę się przespać.

Wyszedł bez oglądania się.

Libby uważnie obserwowała szosę przed sobą. Rush Mason tkwił obok rozparty na siedzeniu. Przez całą drogę nic nie mówił. Była z tego zadowolona. Jeszcze mu nie wybaczyła wczorajszych

odzywek.

Kiedy przejeżdżali przez Sandwich, Rush wskazał na Heritage Plantation.

– Co to jest? – spytał i usiadł wyprostowany.

– Nie słyszał pan o tym?

– Wyjechałem dawno temu i nie znam tego budynku.

– Heritage Plantation to wielka posiadłość, na której urządzono muzeum. Jest tu muzeum starych samochodów; muzeum sztuki ludowej, rzemiosła. Właściciel, zapalony ogrodnik zainicjował w Heritage Plantation lokalną, stałą wystawę roślin ozdobnych. To jest przykład podważający pańskie twierdzenie o zmianach na gorsze.

– Bez żadnych neonowych reklam?

– Wszystko zrobiono ze smakiem i gustem. Nie byłam tu już od lat, ale słyszałam, że jest coraz ładniej.

– Będę musiał pani uwierzyć.

– Powiedział pan, że wyjechał osiemnaście lat temu. Gdzie pan przebywał w tym czasie?

– Najpierw w Bostonie, potem w Nowym Jorku – rzekł z wahaniem, a potem dodał: – Ostatni rok, jak już mówiłem, włóczyłem się po kraju. Zasmakowałem w tym i z tej przyczyny zdecydowałem się wziąć jeszcze trochę wolnego.

Libby zaczęła w myślach korygować swą opinię o Rushu

Masonie. Po rozmowie z Alexem Castle sądziła, że został zwolniony bądź sam porzucił pracę. Skoro jednak mówi o dalszym urlopie, sprawa musi wyglądać inaczej.

– Wędrówki po kraju. Świetna sprawa. Robił pan dłuższe przerwy, by podziwiać krajobrazy?

– Jedyne by pracować. Zbierałem bawełnę w Georgii, spławiałem drewno w Minnesocie, wypasałem bydło w Teksasie.

– To musiały być bardzo interesujące doświadczenia! – zawołała. – Z rozmowy z panem Castle wywnioskowałam, że miał pan raczej zajęcie biurowe.

– Zgadza się. Zarabianie na życie przy pomocy własnych rąk wiele mnie nauczyło.

Przypomniała sobie dotyk jego stwardniałych dłoni.

– Co z tej włóczęgi zapamiętał pan najbardziej?

– Właściwie podobało mi się wszystko – rzekł z uczuciem odprężenia. – Do tej pory nie wiedziałem, jaki piękny mamy kraj. W środkowym Teksasie ziemia zmienia się z czerwonej w czarną. Daje to niesamowite wrażenie. Kiedyś uprawiano tam jedynie bawełnę, teraz przeważa soja.

– A jednak wrócił pan tutaj, na Przylądek – rzekła prawie szeptem.

Zamilkł na chwilę.

– Początkowo myślałam o Bostonie, ale kiedy dotarłem w to

miejsce, zrozumiałem, że zostanę tu przez jakiś czas, bowiem nie całkiem i nie wszystko mnie rozczarowało...

Dreszcz przebiegł jej ciało. Mocniej chwyciła kierownicę, starając się myśleć o sprawach, które ma załatwić w Wareham.

Gdy uporała się ze wszystkim, podjechała pod sklep. Rush już na nią czekał z pojemnikami farb, narzędziami potrzebnymi do pracy. Zapakował zakupy na tylne siedzenie, po czym delikatnie wziął kluczyki z jej ręki.

– Ja poprowadzę.

Nim zdołała zaprotestować, już siedział na miejscu kierowcy i otwierał drzwi, zapraszając do wnętrza.

Najeżona usiadła i zatrzasnęła drzwi.

– Należy pan do grona ludzi, którzy to zawsze muszą prowadzić.

– Nie, za to pani jest jedną z tych, które nie potrafią przyjąć pomocy.

Zmieszła się i utkwiała wzrok w jezdni. Nie lubiła despotycznych mężczyzn. Joe był miękki, czuły, miły. Życie z nim było bezpieczne. Śmiali się dużo, rzadko kłócili. Otoczenie uważało ich za idealne małżeństwo. Niestety, rak...

Zmiana kierunku jazdy wyrwała ją z zamyślenia.

– Wjechał pan na złą drogę. Trzeba zawrócić na następnym skrzyżowaniu.

– Świadomie skręciłem w tę stronę, bo chcę dojechać do Heritage Plantation.

– Heritage Plantation? Chwileczkę, panie Mason, przecież o szóstej przyjeżdżają nowi goście?...

– Ale jest dopiero trzecia.

– Przypuszczam, że potrafi pan zdażyć na czas – rzekła z podejrzaną słodyczą w głosie. – Zaczynam podziwiać pańską umiejętność wypełniania poleceń.

Wjechał na pusty niemal parking.

– Bardziej jestem przyzwyczajony do wydawania poleceń, niż ich wypełniania – odrzekł, wysiadając z samochodu.

Nie ruszyła się z miejsca. Obszedł więc samochód i otworzył jej drzwi.

– Podobają mi się kobiety, które umieją się zachować w każdej sytuacji.

Gorący rumieniec pokrył jej policzek. Opanowując złość, zgrabnie wysunęła się z samochodu.

– Nigdy nie żądałam od mężczyzn, by mi otwierali czy zamykali drzwi – rzekła pozornie spokojnym głosem.

Nie doczekała się odpowiedzi, bowiem wziął ją za ramię i poprowadził do wejścia.

Wyjął z portfela pięćdziesięciodolarowy banknot i podając kasjerce powiedział:



– Proszę dwa bilety.

– Panie Mason – rzekła, kiedy kasjerka podała mu bilety. – Proszę nie zapominać, że to ja pana zatrudniam a nie odwrotnie.

– Pani Peterson – odpowiedział. – Ja nie jestem niczym pracownikiem. Zgodziłem się po prostu wykonać dla pani określone prace. Tak się składa, że nasze potrzeby uzupełniają się wzajemnie.

Poszli w kierunku dużego budynku, w którym ustawiono bezcenne egzemplarze najstarszych samochodów.

– Miała pani rację, to piękne miejsce. Bardzo się cieszę, że tu przyjechaliśmy.

Niewiarygodne, ale te słowa odjęły jej mowę. Poczowała, że gniew jej mija, zastępowany uczuciem, którego nie potrafiła nazwać. Poczowała się nieswojo.

Zauważyła, jak wpatruje się w budynek kryjący stare samochody. Podeszli bliżej i obejrzelili dwa poziomy, na których zgromadzono błyszczące duesenbergi i piercearrowy, packardy i la salle. Rush, mimo że lubił samochody, bardziej zachwycił się architekturą tej budowli, podziwiając piękno powstałe w wyniku połączenia kamienia i drewna.

Kiedy wyszli z budynku, pokręciła głową.

– Zdumiewa mnie pan. Na ogół mężczyźni na widok takich samochodów tracą głowę. Tam przecież stał nawet duesenberg

Gary Coopera. A pana tylko zastanawia mistrzostwo wykonania tego domu.

– Samochody – powtórzył za nią i potrząsnął ramionami. – Samochody są wszędzie, a budowli takich, jak ta...

Ruszyła do przodu.

– Przed nami wspaniały młyn – zawołała. – Może uda mi się kupić trochę świeżo zmielonej mąki?

Zrównał z nią krok.

– Niech pani da spokój z tą mąką. Chciałbym po ludzku porozmawiać z panią. Czego oczekuje pani od życia?

Taka bezpośredniość zaskoczyła ją. Odpowiedziała jednak uczciwie:

– Przede wszystkim zależy mi na zdrowiu. Tę wartość docenia się dopiero wtedy, gdy zachoruje ktoś bliski, kochany... – Z trudem wypowiadała słowa. Niełatwo było dzielić się swymi myślami z obcym mężczyzną. – Chciałbym również mieć dzieci...

– urwała w pół słowa. – Dlaczego pan nic nie mówi o sobie? Szybko pana znudzą moje wynurzenia – rzekła i dodała: – Ma pan jakieś marzenia?

Ze skamieniałą twarzą patrzył przed siebie.

– Nie mam marzeń.

Poczuła się dotknięta tą odpowiedzią i postanowiła zakończyć rozmowę. On jednak kontynuował.

– Chciała pani mieć dzieci... Jednak nie mieliście – powiedział po chwili delikatnie, tak, by jej nie urazić.

– Kupiliśmy zajazd i najpierw chcieliśmy się jako tako urządzić. Zdawaliśmy sobie sprawę, co to znaczy prowadzić taki interes. Zdecydowaliśmy się więc trochę poczekać z dziećmi... Teraz tego żałuję – dokończyła cicho. – Gdybym miała dziecko, miałabym się kim zajmować, o kogo się troszczyć. A tak mam jedynie wspomnienia, a to niewielka pociecha. Ale dość takich rozmów – zmusiła się do beztroskiego tonu. – Przywiózł mnie pan w to urocze miejsce, więc chcę się nim cieszyć.

Przez następne półtorej godziny wędrowali wśród różnorodnych, pachnących kwiatów. Obejrzelili stary młyn i w sklepiku kupili świeżo zmieloną mąkę. Zwiedzili muzeum broni, gdzie obejrzelili strzelbę, która kiedyś należała do samego Buffalo Billa. Spacerowali wokół małego jeziora, gdzie umieszczono śmieszna karuzelę z pomalowanymi na kolorowo konikami tańczącymi w rytm muzyki.

Ulegając nagłej zachciance, Libby wskoczyła na grzbiet zabawki.

– Proszę też wsiąść! – zawołała do Rusha.

On jednak z uśmiechem skrzyżował ręce na piersi, odchylił się do tyłu i obserwował ją uważnie. Gdy karuzela zwiększała prędkość, Libby przylgnęła do konika, czując przyptyw takiej

samej radości, jak kiedyś w dzieciństwie. Odrzuciła w tył głowę i roześmiała się na cały głos.

## Rozdział 4

Następnego popołudnia Rush zdjął okiennice i przygotowywał je do malowania. Libby zabrała się do pieczenia ciasta. Uśmiech rozjaśniał jej twarz, gdy poruszała rytmicznie rękami usmarowanymi mąką. Nawet czubek nosa miała biały. Rusha aż kusilo, by podejść i wytrzeć ten lekko zadarty, uparty... z trudem się powstrzymał. Nie chciał psuć nastroju, ale bardzo mocno odczuwał jej fizyczną obecność. Niemal nie słyszał, co mówi, obserwując ją przy pracy, podziwiając blask niebieskich oczu i ciepło uśmiechu. Miał świadomość jej kobiecości; smukłego ciała pod lekką, niebieską bluzką. Wyobrażał sobie jej dłonie głaszczące jego plecy po dniu ciężkiej pracy.

Patrzył, jak rozstawia tace z kanapkami i ciastem.

Przebrała się w staromodną suknię z dużym, koronkowym kołnierzykiem. Włosy upięła na czubku głowy i tylko kilka pasemek zwisało swobodnie wokół twarzy, nadając jej wyraz niewinności, jakiego od lat nie widział u żadnej ze spotkanych kobiet.

Pod powierzchnią skromności domyślał się bujnego temperamentu, skrywanego i hamowanego. Poczł dziwne napięcie w podbrzuszu i uśmiechnął się sam do siebie. Nie miał kobiety przez cały ostatni rok, a Libby zaczęła go intrygować swą

naturalnością, brakiem sztuczności.

Zdjął z czoła kolorową chustkę i otarł spoconą twarz. Nie byłby mężczyzną, gdyby nie zauważył wyraźnie rysujących się piersi pod koronkową bluzką, smukłej talii i pociągająco zaokrąglonych bioder.

Kobiety, które znał, miały równie piękne twarze, podobnie pełne ciała, ale żadna z nich nie potrafiła zainteresować go na dłużej niż kilka nocy. Może dlatego, że nie piekły chleba, nie pieściły kociąt, nie wychodziły rano do ogrodu, by naścinać kwiatów do wazonu. Żadna z nich nie wskakiwała z gracją młodej dziewczyny na karuzelowego konika albo tak jak Libby bez fałszu mówiła o dzieciach. Jej szczerość i miłość życia pociągały go tak samo mocno, jak jej uroda.

Wetknął chustkę do kieszeni, koszulę włożył w spodnie i ruszył wolno w kierunku werandy. Nie mógł wytrzymać z dala od niej, chciał ją mieć zawsze przy sobie.

Wchodził na schody, kiedy go zobaczyła. Bezwiednie podniosła rękę, Dy poprawić włosy, zwilżyła wargi językiem i wygładziła sukienkę, potem uśmiechnęła się do niego.

– Jest pan zgrzany i z pewnością zmęczony. Ma pan ochotę na filiżankę mrożonej herbaty?

– Dziękuję. Z przyjemnością. Wyciągając rękę po filiżankę, zrobił to tak, by razem z naczyniem chwycić jej palce. Rozkoszny

dreszcz przebiegł mu przez ciało, gdy poczuł dotyk jej skóry.

W tym momencie otworzyły się drzwi werandy i weszły doń dwie siwe panie. Cofnął rękę razem z filiżanką.

– Pani Peterson – zaszczębiotała jedna z nich. – Nasze pokoje są wspaniałe. Bardzo polubiłyśmy ten zajazd. Jest taki przytulny.

– Spojrzała na nakrycie na stole, potem na swój dość okazałych rozmiarów brzuch i zawołała: – O, nie! Dieta to dieta!

Libby zaśmiała się i wskazała na wiklinowe krzesło.

– Proszę usiąść tu, pani Davis, a pani Simpson, o tutaj. Może coś do picia?

– Gorącą herbatę proszę. Z cytryną i może odrobiną konfitur. Czy to czarne jagody?

– Tak, sama je zbierałam. – Wlała herbatę do filiżanek z delikatnej, chińskiej porcelany i podsunęła konfitury.

Stopniowo na werandę schodzili się pozostali goście i wkrótce słyhać było hałas rozmów i śmiechów, dźwięk łyżeczek uderzających o porcelanę oraz odgłos lodu w wysokich szklankach.

Rush oparł się wygodnie o poręcz werandy i przyglądał się całemu towarzystwu. Gdy podeszły do niego dwie siwe panie, pytając o miejscowe ciekawostki i atrakcje, gorąco polecił im zwiedzenie Heritage Plantation.

– Pani Peterson i ja byliśmy tam wczoraj. Radzę zwiedzić to

miejsce, zwłaszcza, że interesują się panie ogrodami.

Agata Davis promieniała.

– Jak to miło, że pan i pańska żona macie możliwość zwiedzania Przylądka. Kiedy żył mój Homer, też tak robiliśmy.

Rush spojrział z rozbawieniem na Libby, która akurat nadeszła i słyszała ostatnie zdania.

– Przepraszam, nie przedstawiłam paniom pana Masona. – Ręka jej drżała, gdy wskazywała w jego kierunku. – Jest... – szukała odpowiedniego słowa. – Pan Mason jest moim... to jest... pracuje dla mnie. Jestem wdową.

– O Boże! – zawołała pani Agata. – Co za osioł ze mnie! ^

– To nie pani wina. – Libby uśmiechała się pogodnie. – Moje prospekty, również szyld sugerują, że prowadzę zajazd wspólnie z mężem. Pan Mason ma właśnie zrobić nową tabliczkę. Trzymam go za słowo.

Rush nie mógł wyjść z podziwu dla Libby – z tak niezręcznej sytuacji wybrnęła z gracją i taktem. Odsunął się od poręczy i postawił filiżankę na stole – Pani Peterson, dziękuję za pyszną herbatę. Moje panie. – Skłonił się i wyszedł. Zszedł ze schodów, okrążył zajazd i zniknął na końcu podwórza.

Libby usiadła przy stoliku w swym maleńkim biurze i próbowała policzyć rachunki. Stanowczo nic jej nie wychodziło, nie potrafiła się skupić.



Zgasiła więc światło i poszła w kierunku plaży.

Wieczorem, kiedy wszyscy goście udawali się na spoczynek, często wyruszała na długie, samotne przechadzki wzdłuż brzegu morza. W ten sposób zbierała siły na następny dzień.

Dzisiejszej nocy powietrze było chłodne i orzeźwiające. Szła w ciemności, nie używając latarki. Jej stopy wyczuwały każdy pagórek i każde zagłębienie ścieżki. Okrążyła zajazd i znalazła się przed hangarem. Z okna przesłoniętego żaluzją wydobywało się światło. Zawahała się przez moment, ale zaraz poszła dalej w kierunku szumiącego oceanu. Zatrzymała się na skraju wydmy porośniętej ostrą, wysoką trawą. Świetlista ścieżka odbitego światła księżyca ginęła na horyzoncie.

Zdjęła buty i maszerowała bosą po piasku. Rozkoszowała się dotykiem wilgotnych ziarenek przesypujących się pomiędzy palcami. Stała na skraju plaży tak, że fale dochodziły do jej stóp. Po raz pierwszy w życiu widziała, jak woda wyrzucona siłą wiatru na brzeg wraca na swoje miejsce.

Odrzuciła buty daleko na wydnię, wzniosła ręce nad głowę i przeciągnęła się z lubością. Słaba bryza rozwiewała jej włosy. Piersi podnosiły się i opadały pod cienką, bawełnianą bluzką. Poczwała w całym ciele nieokreślony, pulsujący rytmicznie ból.

Nagle spostrzegła czyjąś obecność.

W drzwiach hangaru stał Rush Mason. W przyćmionym świetle

widziała wyraźnie kędziory czarnych włosów pokrywających nagą pierś i umięśnione ramiona.

Nałożył koszulę i szedł w jej kierunku, zapinając po drodze guziki. '

– Trochę późno na spacer T – rzekł, gdy stanął tuż obok.

– Tak. – Nie mogła uciec od niego wzrokiem, ale nie miała także odwagi spojrzeć mu prosto w oczy. Jego obecność prawie ją obezwładniała. – Nie mogłam spać. Dość często spaceruję po plaży nocą. To mnie uspokaja.

– Jeśli pani pozwoli, przejdę się z panią. Mnie także nie chce się spać.

Ruszyła wzdłuż wydm. Nie potrafiła wydobyć z siebie żadnego sensownego zdania. Kiedy jego ręka otarła się o jej ramię, odsunęła je gwałtownie, usiłując zignorować jego bliskość. Wiedziała jednak, że to beznadziejne. Z równym skutkiem mogła ignorować piasek pod stopami i gwiazdy migocące na niebie.

– Zacząłem powtórnie czytać książkę Bestona – rzekł niespodziewanie. – Potrzebowałem roku, by powrócić w to miejsce.

Doszli do drewnianego mola wybiegającego z plaży w kierunku portu. Chwycił ją za rękę. Bała się tego dotyku, ale jednocześnie była mu wdzięczna, że prowadził ją po chybotliwych deskach.

– Jednak zabrał pan ze sobą Bestona?

– Tak. – Obrócił się do niej twarzą. – Jestem kłębkim sprzeczności. Dokładnie tak samo jak pani.

– Ja? – próbowała się roześmiać, ale nic z tego nie wyszło. Zadrżała, czując jego dłoń przesuwaną się w górę po jej ramieniu.

– Tak – powiedział bardziej do siebie, niż do niej. – Tak, pani. Widziałem, jak podeszła pani do morza, zrzuciła buty, wzniosła ręce do nieba. Było w tym geście coś atawistycznego, jakby płonął w pani ogień...

Pod wpływem tych słów w całym ciele poczuła słabość, fale zimna i gorąca. Zaszło jej w gardle. Modliła się o spokój oraz o to, aby jego palce zaprzestały delikatnych, zmysłowych pieszczot jej skóry. Każdemu innemu mężczyźnie potrafiłaby się oprzeć, temu jednemu...

Uwolniła ramię z jego uścisku.

– Nie sędzę, by pan widział płomień. To raczej stygnące popioły. Pracuje się ciężko, pada się ze zmęczenia, a rozbiegane myśli nie pozwalają zasnąć.

– Jakie myśli panią tak niepokoją?

Co na natręt! Odszukała i założyła buty.

– No, rachunki i takie tam sprawy. Przyjazd Deirdre. Tysiące drobiazgów, nic poważnego.

– Potrzebuje pani czegoś na uspokojenie – rzekł, ujmując jej

ramię. – Mam coś takiego.

– O, nie, naprawdę... – Usiłowała uwolnić się z jego uścisku, ale trzymał ją mocno.

Podeszli do hangaru, otworzył drzwi, wprowadził do środka i dopiero teraz uwolnił jej rękę.

Nie chciała już uciekać. Hangar nagle wydał się jej bardzo gościnny i przytulny. Lampa z pergaminowym abażurem rzucała żółte światło na wiklinowy fotel stojący obok kominka.

Na łóżku leżała otwarta książka. Na stoliku stała butelka koniaku. Obok niej – do połowy napełniony bursztynowym płynem kieliszek, – Rozpalę ogień – rzekł, klękając na jednym kolanie i układając drewnienka na palenisku. W chwilę potem rozkoszne ciepło rozeszło się po całym pomieszczeniu. Aromat palonego drewna mieszał się z wszechobecnym zapachem oceanu.

Rush wlał trochę koniaku do kieliszka i wręczył go Libby.

– To pani dobrze zrobi – rzekł i dodał ciszej: – i może uspokoi?

Spojrzała na niego znad szkła.

– Dziękuję.

Powąchała płyn i upiła trochę. Koniak był łagodny i ciepły. Nie mogła usiedzieć na jednym miejscu, wstała więc i zaczęła chodzić po pokoju.

– Czyżbym panią denerwował, pani Peterson?

– Ależ nie, cóż znowu.

– No, to niech pani usiądzie – rzekł, podsuwając jej wiklinowy fotel. – Zapewniam panią, że jest całkiem wygodny.

Nie potrafiła odmówić. Usiadła na brzeżku i odprężyła się dopiero wtedy, kiedy on wyciągnął się na podłodze naprzeciw kominka. Spojrzała na otwartą książkę.

– Który rozdział?

– Dopiero początek, ten fragment, gdzie Beston mówi, że „świat jest zepsuty do szpiku kości z braku elementarnych zasad”. Jeżeli tak myślał na początku tego wieku, to co powiedziałby dzisiaj?

Libby obserwowała cienie rzucane przez ogień z kominka, poruszające się na jego twarzy. Było tyle smutku w jego spojrzeniu, jakiegoś skrytego bólu, że miała ochotę przytulić tę twarz, zanurzyć dłonie w gęstych, czarnych włosach, by ulżyć mu choć trochę.

– Powiedziała pani, że to jej ulubiona książka. Dlaczego?

Oparła łokieć na poręczu fotela.

– To chyba sprawa pięknego języka. Pisze stylem podobnym do E. B. White'a, doskonale czuje przyrodę, widzi ją. Jest jakby w zażyłych stosunkach z lądem i morzem. Od czasu, kiedy przeczytałam tę książkę, staram się patrzeć na świat oczami Bestona, ale nigdy mi się to nie udawało. Czuję się tak odległa od jego poziomu, tak pospolita...

Rush potrząsnął głową.

– Pani widzi w ludziach coś, czego oni sami w sobie nie odkrywają.

– To dobrze, że choć coś pozostało we mnie z lektury Bestona.

– W tej chwili – rzekł, nie patrząc na nią – czuję pani przyjazne zainteresowanie, pani sympatię. Czuję się tutaj, jakbym siedział z kimś bardzo mi bliskim...

Odchyliła głowę na oparcie fotela.

– To pewnie przez ten koniak.

– Niech mi pani opowie znów o sobie. Jestem ciekawy, jak pani znalazła się na Przylądku Dorsza? Dlaczego zdecydowaliście się z mężem urządzić tu zajazd? Chciałbym posłuchać o pani rodzinie, przyjaciółach...

Zaśmiała się cicho, czując błogie ciepło trunku, rozchodzące się po ciele.

– Wówczas musiałabym tu posiedzieć całą noc.

– Proszę, niech pani opowie.

Nie mogła odmówić jego prośbie. Stopniowo zapominała, gdzie jest. Straciła poczucie czasu. Istnieli tylko oni dwoje w magicznym kręgu światła rzucanego przez nocną lampkę. Rozmawiali długo w noc, sącząc koniak i widząc tylko siebie nawzajem.

Kiedy wróciła do swego pokoju, była już czwarta rano. Zasnęła

natychmiast. Po przebudzeniu pierwszą osobą, o której pomyślała,  
był Rush Mason.

## Rozdział 5

Libby zapatrzyła się w dno misy. Starła się przygotować konfitury, lecz jej myśli krążyły ciągle wokół Rusha i ostatniej nocy. Przez kilka godzin przebywała w innym świecie. Konfitury zmusiły ją do powrotu do zwykłej rzeczywistości.

Z ciężkim sercem zaczęła mieszać w misie.

Wkrótce na stopniach werandy rozległy się kroki. Odgłosy sygnalizujące przybycie Rusha sprawiły, że serce Libby uderzało mocniej.

Nie może tego opanować, mimo że już dawno postanowiła nadać ich wzajemnym stosunkom pewną formalność.

– Dzień dobry, panie Mason.

– Wygląda pani ślicznie po nie przespanej nocy.

W jego ustach nawet tak niewinne słowa przybrały dwuznaczny sens, toteż chciała zwiększyć dystans między nimi. Powiedziała cierpko:

– Tyle mi starcza.

– W takim razie dobrze pani robi męskie towarzystwo.

Rumieniec zniknął z jej twarzy. Był ekspertem w swej dziedzinie, zarzucał ją delikatnymi aluzjami, nigdy nie mówiąc wprost, o co mu chodzi.

– Będzie pan dzisiaj malował? – spytała zimno.



– Tak. Zdjąłem wszystkie okiennice. Zaraz się nimi zajmę. Wyschną w ciągu dnia i na weekend na pewno je założę.

– To mi odpowiada.

Jej oczy zdawały się mówić: „No, widzisz? Ja tu rozkazuję. Panuję nad sytuacją!

Natomiast jego oczy zdawały się odpowiadać: „Na razie – zgoda. Myśl tak dalej. We właściwym momencie – zobaczymy!

– Proszę sobie przygotować śniadanie. Jestem zajęta gośćmi.

Odwróciła się do niego plecami, pozostawiając go samego.

Z góry dochodziły dźwięki świadczące o tym, że goście już wstali.

Słyszając je Libby z uśmiechem weszła do jadalni, by rozpocząć nowy dzień.

W trzy godziny później spokój Libby zakłóciło głośne pomstowanie Klary, kobiety, która pomagała jej w najprostszyc pracach.

Z pewnością znów poszło o kotkę.

Klara, zdecydowany wróg wszystkich kotów, wykrzykiwała na Buttermilk podniesionym głosem.

Chcąc nie chcąc Libby odłożyła ręczniki i wyszła na dwór. Klara stała przy drabinie i machała rękami w kierunku dachu, gdzie usadowiła się kotka.

– Buttermilk, po coś ty tam wlazła? – zawołała Libby.

– To ten pani nowy pomocnik zostawił tutaj drabinę, a głupi kot po niej wlaź. Pamięta pani, jak wszedł na ten stary klon, to siedział tam cały tydzień, a pani straciła przez to czworo gości, bo nie mogli wytrzymać miauczenia pod oknami.

– Może sama zlezie? – spytała Libby bez wiary w to, co mówi.

– Co też pani? Koty leżą tylko w jednym kierunku, w górę. Jeśli ktoś jej stamtąd nie ściągnie, czeka nas kilka bezsennych nocy.

Libby z przestraczem popatrzyła na niebezpiecznie wysoką drabinę. Na samą myśl, że miałyby po niej wejść na dach, zrobiło jej się niedobrze. Jedynym wyjściem był Rush Mason. „Robi się tu niezbędny” – pomyślała bez entuzjazmu, a głośno powiedziała:

– Może pan Mason mógłby wejść na dach?

– To właśnie przez niego cały ten bałagan.

Klara odeszła, pozostawiając Libby pod drabiną.

Rozważała kilka możliwości, w końcu zdecydowała się. Westchnęła, podwinęła spódniczkę i zaczęła wspinać się po drabinie.

W połowie drogi spojrzała w dół i od razu pożałowała swej decyzji. Żołądek podszedł jej do gardła i poczuła mdłości. Przyłgnęła do drabiny.

– O, Boże! Nie powinnam tego robić! Mimo to postawiła nogę na wyższym szczeblu i następnym, i jeszcze jednym, aż kot

znalazł się niedaleko niej.

– W porządku, Buttermilk, chodź tu, chodź.

Libby wyciągnęła do niego rękę i... W tym momencie kot zadarł ogon i ruszył dalej po dachu.

– O, ty draniu! – zawołała za nim głośno. – Zasłużyłeś sobie na kilkudniową głodówkę.

– Czy trzeba także przeczyścić komin? Nic mi pani o tym nie wspominała – przerwał jej Rush. – A może poczuła pani chęć powłóczenia się, jak kot po dachu?

Libby zacisnęła zęby.

– Nic z tych rzeczy, panie Mason. Stąd rozpościera się piękny widok na zatokę.

– Buttermilk też tak myśli?

Libby spojrzała na kotkę, która kilka metrów dalej spokojnie lizała sobie łapy.

– Buttermilk znalazła się w bardzo trudnym położeniu i grozi jej dłuższy pobyt na dachu.

– Proszę zejść, a ja zajmę się tą sprawą. Libby spojrzała w dół i natychmiast poczuła zawrót głowy.

– Zeszłabym – rzekła słabym głosem – gdybym tylko mogła.

– Skoro pani tam weszła, to tym samym sposobem należy zejść.

– Dawno bym to zrobiła, ale czuję się jak sparaliżowana. Już na samą myśl o schodzeniu kręci mi się w głowie. Nie ruszę się, bo

czuję, że zaraz spadnę.

– Nonsens – powiedział zdecydowanie. – Będę mocno trzymał drabinę. Proszę odszukać nogą szczebel, stanąć na nim i pomału przenieść ciężar ciała. A teraz następny, jeden po drugim. O, tak właśnie.

Jego głos był tak spokojny, że Libby bez oporu podporządkowała się nakazom. Opuściła nogę, poszukała szczebla, lecz w tym momencie podmuch wiatru poruszył drabinę. Przywarła do niej i zamarła w bezruchu.

– W porządku, trzymam ją mocno. Szczebel znajduje się dokładnie pod pani nogą, proszę mi zaufać.

Skinęła głową. Poczwała szczebel pod nogą i zrobiła, co jej powiedział.

– Tak, teraz następny.

Szczebel po szczeblu Libby schodziła z drabiny.

– Panie Mason, zaraz się rozchoruję.

– Nonsens. Proszę otworzyć oczy i patrzeć prosto przed siebie. Zaraz będzie pani na dole.

Do pokonania było jeszcze parę szczebli, gdy nagle dwie twarde dłonie chwyciły ją w talii, podniosły lekko w górę i postawiły na ziemi.

Stali blisko siebie. Jego opalona na brąz skóra domagała się jej dotyku, a włosy rozrzucone na wietrze – jej palców. Ciało Rusha

promieniowało ciepłem i zmysłowością. Czuła siłę jego mięśni. Jej oczy pochłaniały każdy szczegół jego twarzy: zmarszczki w kącikach oczu, bliznę nad prawą brwią, mocno zarysowaną szczękę, zmysłowe wargi.

W momencie, gdy postawił ją na ziemi, poczuła się bezpiecznie. Ale czy rzeczywiście była?

Obróciła się, oparła plecami o drabinę.

– Dziękuję. Nie wiem, co bym bez pana zrobiła – rzekła, chwytając oddech.

– Czekałem, kiedy pani to powie. Znowu poczuła gorący rumieniec na twarzy.

– Ale problem pozostał nie rozwiązany: Buttermilk jest ciągle na dachu.

– Proszę przynieść puszkę z jej ulubionym żarciem. Musi poczuć zapach jedzenia.

– To nie pomoże. Próbowałam tego sposobu w zeszłym roku, kiedy wlaża na drzewo. Żarcie stało cały tydzień.

– Proszę przynieść. – Uśmiechnął się do niej.

Potrząsnęła głową, ale poszła do kuchni. Znalazła puszkę rybną, otworzyła ją i przyniosła. Rush wziął trochę zawartości na palce i począł wspinać się po drabinie.

– To przynęta. Trzeba zwabić ofiarę – rzekł.

A jeśli to ona będzie ofiarą? Odpowiedź narzuciła się sama: jest

artystą w tych sprawach, żadna mu się nie oprze. Kiedy tylko zechce – wyciągnie rękę i już ma...

Tymczasem Rush zbliżył się do kotki, spokojnie wyciągnął do niej rękę i zaczął przemawiać do niej niskim, gardłowym głosem, na dźwięk którego każdą kobietę przebiega dreszcz:.. Znowu te myśli.

Buttermilk powąchała, poruszyła niezdecydowanie ogonem, po czym wstała i zbliżyła się do Rusha. Polizała jego palce, zaś on głaszcząc delikatnie jej futerko i przemawiając do niej cichym, uwodzicielskim szeptem, zagarnął ją całą dłonią.

A więc uwodzenie zakończone; ofiara upolowana. Kotka została kupiona. Rush położył ją sobie na ramieniu i zszedł z drabiny. Kiedy stanął na ziemi, zeskoczyła i pobiegła do swych małych.

– Proszę bardzo, problem rozwiązany, pani Peterson. Czy coś jeszcze?

– Nie, dziękuję, panie Mason – powiedziała głośno i wbiegła po schodach do zajazdu. Po drodze kopnęła wiklinowy kosz na bieliznę. „Cholera! Że też on musi łazić półnagi!” – pomyślała ze złością.

Podczas lunchu udawała wyniosłą.

– Mam nadzieję, że pamięta pan o ciekącym kranie w mojej łazience – rzekła, stawiając półmisek z kanapkami na stole. –

Znajdzie pan czas, by go naprawić?

– Jeżeli tylko będzie odnotowany w książce zleceń.

Jego kpiący ton zirytował ją.

– Zatrudniłam pana i ja wydaję polecenia. Ten ciekący kran nie daje mi spać. Chciałabym, by go pan naprawił.

– Czyli mam coś robić, by pani mogła spać?

– Tylko naprawić kran. Podniósł brwi zdziwiony.

– Oczywiście. Pani to zrozumiała inaczej?

Wstała gwałtownie.

– Mam dziś spotkanie w Izbie Handlowej w Sandwich. Może pan go zreperować, jak wyjadę.

Spojrzała na niego i szybko wyszła z kuchni. Pewnie jeszcze się z niej śmieje. Diabli nadali faceta! Mogła wrócić i powiedzieć, że ma dosyć tych jego ciągłych przycinków, których dłużej nie będzie tolerowała. Jednocześnie wiedziała, iż tego nie zrobi. Nie była w stanie wytrzymać spojrzenia jego szarych, ciepłych oczu.

Chcąc się uspokoić, zabrała się do rachunków.

Niektóre dni Libby wolałaby raczej zapomnieć, na przykład dzisiaj.

Kilka minut po czwartej zjawily się dwie pary, prosząc o pokoje. Z początku bardzo ją to ucieszyło. Kiedy jednak obie kobiety jednocześnie włączyły suszarki do włosów, a mężczyźni – elektryczne maszynki do golenia, wskutek czego przepalił się

bezpiecznik, dobry nastrój ją opuścił. Czowała pajęczyny na twarzy, gdy schodziła do piwnicy. Zajrzała do skrzynki z bezpiecznikami, starając się odszukać ten spalony. Na szczęście szybko go dostrzegła i wymieniła.

Goście, po obejrzeniu swoich pokoi, niezadowoleni z braku niektórych wygód, głośno wyrażali swoje niezadowolenie.

– Chcemy zwrotu pieniędzy – wołał czerwony na twarzy facet.

– W naszym pokoju nie ma telewizora ani telefonu. W Ramada Inn\* [Sieć średnio luksusowych hoteli, podobnych do Holiday Inn. (przyp. tłum. )] nie ma przerw w dostawie prądu...

– Nie ma również antycznych mebli, wzorzystych tapet ani ręcznie pikowanych kołder – odparła Libby z uśmiechem, już opanowana. Współczuła jego niskiej, krępej żonie, która stała za nim, zawstydzona wybuchem gniewu małżonka.

Kiedy wreszcie odeszli, Libby przeszła do kuchni po tabletkę od bólu głowy.

Otwierając drzwi, od razu zauważyła pieniające się mydliny, zalewające świeżo wywoskowaną podłogę. Natomiast z pralni dolatywał łomot tłukącej się pralki do prania. „O, Boże! Klara znowu nasypała za dużo proszku” – przebiegło jej przez myśl. Libby błyskawicznie dotarła do źródła hałasu i wyrwała kabel z gniazdka. Maszyna stanęła, skończył się również wypływ mydlin. Libby wzięła wiadro i szmatę i zaczęła zbierać wodę, przeklinając



Klarę za jej niedbalstwo.

Kilka minut po siódmej, myjąc ostatnie naczynia i garnki, stwierdziła, że nie zdąży na spotkanie w Izbie Handlowej.

Na drzwiach wejściowych zajazdu wywiesiła kartkę z informacją o braku wolnych pokoi, albowiem nie miała już siły na przyjmowanie gości. Skierowała się do prywatnej części zajazdu, by odpocząć choć kilka godzin.

Zrzuciwszy buty weszła do sypialni urządzonej w wiktoriańskim stylu.

Centralne miejsce zajmowało mosiężne, ogromne łóżko, pokryte koronkową kapą, zarzucone górą poduszek. Obok łóżka stał okrągły stolik okryty ręcznie wyszywanym obrusem. Stały na nim zdjęcia w ozdobnych, srebrnych ramkach, zbiór różnokolorowych flakoników z perfum oraz lampa nocna z abazurem z różowego szkła.

Libby zdjęła suknię i koronkową bieliznę i naga weszła do łazienki. Atmosferę pomieszczenia podkreślała odnowiona, świeżo pokryta emalią wanna na czterech mosiężnych nóżkach oraz stara umywalka z ozdobnymi mosiężnymi uchwytyami.

Napełniała wannę wodą, dodając dużo płynu kąpielowego, upięła włosy na czubku głowy, rozmasowała obolałe nogi i zanurzyła się w wodzie.

Co za ulga! Jak przyjemnie! Przymknęła oczy i zanurzyła się

głęboko, rozkoszując się przyjemnym zapachem i ciepłem.

Trochę później usłyszała jakiś ruch w sypialni. Niebawem w drzwiach łazienki ukazał się Rush.

Usiadła zaskoczona, a gęsta piana skrywała ją jedynie do połowy.

On również poczuł się zakłopotany, ale wybrnął z tego szybciej niż ona. Zachwyty błysnął mu w oczach i nic nie wskazywało, by chciał wyjść.

– Panie Mason, czy ten nieszczęsny kran może trochę poczekać?

– Chce mnie pani namówić na odłożenie spraw służbowych na później? – Uśmiechnął się rozbijając.

– W tym przypadku, tak. A teraz zechce pan wyjść.

Z łobuzerskim uśmiechem popatrzył na nią i powiedział:

– Powinna pani cała schować się w tej pianie. Będzie pani znacznie cieplej i... nie będzie pani tak piekielnie kusząca.

Z pluskiem schowała się pod wodę i tylko głowa wystawała jej z piany.

– Teraz już lepiej – rzekł. – Nawet da się porozmawiać.

– Później – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Dobranoc, panie Mason.

Nie zwracając na nią uwagi, Rush rozsiadł się wygodnie na brzegu wanny.

– Czas wyjaśnić, dlaczego pani mnie świadomie okłamała.

– Ja okłamałam?! – wykrzyknęła, wychylając się z wody. – O czym pan mówi?

– Powiedziała pani, że dzisiaj wieczorem wychodzi i poleciała mi pani przyjść tu, do prywatnych pomieszczeń i naprawić ten kran – rzekł spokojnie. – Popatrzył na nią i zawołał: – Dziewczyno, ten widok...

– Jaki widok? Tu nie ma żadnego widoku!

– Jest – szepnął cicho. – Ty jesteś najpiękniejszym widokiem, na dodatek tak podniecającym, że prawie zapominam o swojej pozycji wynajętego robotnika.. !

– Nadużywa pan mojej cierpliwości.

– Ja? Chyba na odwrót. Myśli pani, że to łatwo utrzymać się w garści w obliczu takiej pokusy? Złapała mnie pani w pułapkę. I zrobiła to pani celowo, by mnie uwieść. To miał być test.

– O czym pan mówi?

– Test na to, czy znam swoje właściwe miejsce, sprawdzenie mnie. Wie pani, że jestem zdrowym, normalnym mężczyzną z jego potrzebami. Od roku nie miałem kobiety, a pani poddaje mnie takiej próbie...

– Niech pan nie błaznuje! – parsknęła. Potem wskazując drzwi, dodała: – Proszę wyjść z łazienki.

Postał przez moment, po czym zebrał narzędzia i skierował się

do wyjścia.

– Pani Peterson... ten kran. Kiedy będę go mógł zreperować?

– Wyjdź! – krzyknęła. – Wyjdź i ani słowa więcej!

Wyszedł zrezygnowany, a ona podniosła się, by wyjść z wody.

W tym momencie otworzyły się drzwi i Rush wetknął głowę.

– Dobranoc, pani Peterson.

Padła do wanny, a fontanna wody i piany zaląła jej twarz i włosy.

## Rozdział 6

Ręce jej się trzęsły, gdy próbowała wbić jajo do miski. Niestety białko i żółtko poleciało na stół. Wycierała ręce, gdy otworzyły się drzwi do kuchni. Serce jej zamarło, a w gardle zrobiło się sucho.

Rush stanął przed nią, trzymając gałązkę róży. Zmieszana popatrzyła najpierw na kwiaty, potem na niego.

– To dla pani. Z przeprosinami za moje wczorajsze zachowanie.

Wzięła do ręki kwiaty. Na pąkach i liściach lśniła jeszcze poranna rosa. Podniosła gałązkę i wchłaniała cudowny zapach.

– Ja również byłam wczoraj nieprzyjemna.

– Miała pani powody – zgodził się. – Ale nie mogłem się powstrzymać. Była pani taka piękna... jest pani piękna – poprawił się.

– Panie Mason...

– Libby, nie nazywaj mnie tak. Mów do mnie: Rush. Przecież tak mnie nazywasz w myślach, prawda?

– Nie wiem, co powiedzieć. Nie jestem za bardzo bezpośrednia...

– Może ci będę mógł w tym pomóc. Opowiem ci o sobie... W ciągu tego roku spotkałem tysiące ludzi, jednak ty jesteś pierwszą osobą, z którą chcę rozmawiać. Wszyscy inni. – Przerwał. –

Wszyscy inni... Nie wiem, chciałem stać z boku. To dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Ukrywałem się pod powierzchnią anonimowości.

– Kryłeś się? – spytała wystraszona.

– Nie bój się. Nie jestem zbiegłym więźniem. Uciekam jedynie sam przed sobą.

– Nie musisz mi nic mówić. Nie masz w stosunku do mnie żadnych zobowiązań.

– Ale ja chcę ci opowiedzieć... Pamiętasz wizytówkę z nazwiskiem Alexa Castle? Pracował dla firmy RJM. Wiesz, co oznaczają te inicjały?

Powtórzyła te trzy litery głośno, domyślając się znaczenia pierwszej i trzeciej.

– Rushwood James Mason – rzekł – dyrektor i przewodniczący rady nadzorczej.

– Wiedziałam od razu, że nie jesteś takim sobie zwykłym majstrem. Czułam to niemniej jednak tak wysoko cię nie stawiałam.

– Nie jestem nikim nadzwyczajnym. Ciężko pracowałem i udało mi się coś osiągnąć. Takich jak ja są setki. Trzeba mieć tylko odwagę i determinację w realizacji swych marzeń...

Patrzyła na niego zafascynowana.

– Marzenia. Pamiętasz, pytałam cię kiedyś, czy masz jakieś

marzenia. Odpowiedziałeś, że nie. Kiedyś je jednak miałeś. O czym marzyłeś?

– O pieniądzach, sukcesach, szafach pełnych trzyczęściowych garniturów, autach, obiadach z prezydentem, urlopach na Karaibach, wielkich operacjach handlowych. Wiele rzeczy wydaje się ważnych, lecz po latach doszedłem do smutnego wniosku, że im więcej mam, tym mniej czuję się szczęśliwy. – Potrząsnął głową. – Wiem, wiem, to stara historia: bogaty facet odkrywa nagle, że pieniądze to nie wszystko. Ale w moim przypadku nie szło tylko o pieniądze. Dostałem od życia takiego kopa... – Odwrócił się do niej. – Zapewne słyszałaś o sieci hoteli Rushwood Plaża? To moja sieć. Mam motele i hotele rozrzucone po całym kraju, kasyno w Atlantic City i kupuję cały luksusowy kompleks na Karaibach.

Libby poczuła przerażenie. Co mogło sprawić, że Rush Mason porzucił swoje bogactwo i podjął prostą, fizyczną pracę w wiejskim zajeździe?

– To brzmi niewiarygodnie – rzekła w końcu. – Dlaczego to wszystko rzuciłeś?

– Może to kryzys mężczyzn w średnim wieku?

– Nie w twoim przypadku.

– Żartowałem. Jest wiele innych spraw. Przede wszystkim straciłem kontakt z samym sobą, Libby. Widzisz, młody

mężczyzna chce się sprawdzić, chce pozostawić swój ślad na tym świecie. I ja to zrobiłem. Osiągnąłem dużo, ale gdzieś po drodze zgubiłem siebie. Kupujesz hotel i stwierdzasz, że to nie to; kupujesz sieć hoteli i wkrótce okazuje się, że i to mało. Budujesz kasyna i... – Westchnął ciężko. – Udało mi się zrealizować swoje marzenia i nagle stanąłem bez celu w życiu. Do tego stopnia, że rano nawet z łóżka nie chciało mi się wstać... – Przerwał. Po chwili ciągnął dalej: – W pewnym momencie poczułem, że muszę to wszystko rzucić, żeby sprawdzić samego siebie w inny sposób. Przekonałem się, że mogę żyć bez setki koszul od Braci Brooks, pięćdziesięciu par butów od Gucci’ego i dwudziestu pięciu garniturów szytych na miarę w Saville Row...

– Ty już się sprawdziłeś, Rush – rzekła z całkowitym przekonaniem. – Można na tobie polegać, a to najważniejsze. Potrafisz ciężko pracować... czegoś takiego kupić nie można. To się w sobie wyrabia.

Jego oczy nabrały ciepła.

– Dziękuję, twoje słowa są pełne otuchy. Jeździłem po kraju, ale czegoś mi ciągle brakowało. Wtedy trafiłem tu... Do tego zajazdu. Nie wiem, dlaczego poprosiłem cię o tę pracę. Nie szukałem zajęcia. Tak naprawdę, to byłem bliski powrotu do Nowego Jorku i jedynie przez czysty przypadek trafiłem do tego zajazdu... – Przerwał. Ważył coś w myślach i szukał słów, którymi



dałoby się to wyrazić. – Jedno wiem na pewno; chcę tu zostać. Od lat nie czułem się tak dobrze. – Wyciągnął rękę, by dotknąć niesfornego loka tuż przy jej uchu. – I to nie jest sprawa zajazdu. To ty, Libby, znaczysz dla mnie tak wiele...

Gorący dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

– Rush, ja cię prawie nie znam. Ty mnie również...

– Więc postarajmy się wspólnie jakoś temu zaradzić.

Potrząsnęła głową. Już raz straciła człowieka, którego kochała. Nie potrafiłaby ponownie znieść takiej straty.

– Rush, nie mogę sobie pozwolić na wakacyjny romans. Potrzebuję prawdziwej miłości.

– Nie proponuję ci żadnego romansu. Chcę tylko, byśmy się wzajemnie poznali – rzekł i przeczesał włosy palcami – bazując na prawdzie i szczerości. Jestem bogaty. Mimo to chcę zostać tu i robić to, co robię. Niczego od ciebie nie żądam. Daj mi jedynie szansę, bym mógł cię poznać.

Potrząsnęła ponownie głową i spojrzała na zegar. Na piętrze zaczęła skrzypieć podłoga. Zajazd budził się do życia. Za kilka minut nie będzie już czasu na rozmowy.

– Rush, proszę cię, nie wiem. W tej chwili muszę skończyć przygotowanie śniadania.

– Powiedz tylko, że się zgadzasz. Spojrzała na róże, szukając odpowiedzi na jego prośbę.

– Libby, powiedz, że się zgadzasz. Rozum podpowiadał jej, że to nierozsądne wiązać się z nim, ale serce wygrało.

– Dobrze – odpowiedziała szeptem.

– Cudownie, wobec tego zapraszam cię zaraz po odpływie do zbierania muszli. Nazbieramy ślimaków i zrobimy z nich wspaniałą zupę.

– Zgadzam się na wszystko – zaśmiała się na cały głos.

Rush pogrzebał w mokrym piasku i podniósł kahoga\* [Małż żyjący w tamtych stronach, uchodzi za przysmak wśród Indian; nazwa indiańska (przyp. tłum. )].

– Patrz, ten jest niezbyt okazały – objaśnił.

Przykucnął obok wiaderka i wyjął metalowy pierścień – tym urządzeniem mierzy się muszlę. Jeżeli jej średnica jest poniżej dwóch cali, mięczak jest niedojrzały i trzeba go wyrzucić.

Pokazał, jak się dokonuje pomiaru: muszla nie przeszła przez pierścień, więc wrzucił ją do wiaderka.

– Przy chwytaniu trzeba bardzo uważać; muszle są bardzo ostre i bardzo łatwo się zranić.

Podał Libby małe widełki.

– Można ich używać przy zbieraniu, ale rękoma idzie znacznie szybciej.

Libby rozgarnęła piasek i wygrzebała kahoga.

– Popatrz! Znalazłam! Wrzuciła skorupiaka do wiaderka.

– Skąd się na tym znasz?

– Wyrosłem, zbierając skorupiaki i łowiąc ryby w South Yarmouth, przy motelu mego ojca. Dorastałem z myślą przejęcia po ojcu całego interesu. Nim skończyłem studia, ojciec kupił dalszych pięć moteli. Kiedy poszedł na emeryturę, wówczas przejąłem wszystko w biegu. Powinno mnie to zadowolić. Szkoda, że tak się nie stało.

– Dlaczego wyjechałeś? Po dość długiej przerwie odpowiedział:

– Z powodu mojej żony. Zaniemówiła, czując wielki zawód.

– Razem dorastaliśmy, razem chodziliśmy do szkoły średniej, a na studiach byliśmy już narzeczonymi. Ma na imię Laura. Podniósł kamień i rzucił go daleko w wodę. – Przejąłem zarząd moteli, gdy tylko ojciec przeszedł na emeryturę. Wkrótce zauważyłem, że rynek hotelarski tu, na Przylądku, jest nasycony. Kupiłem więc motele w okolicach Rockport i Gloucester, potem z jednej ruiny w Bostonie zrobiłem cacko. Z Laurą przeprowadziliśmy się do Wellesley, a następnie do Nowego Jorku. – Patrzył w dal i kontynuował: – Laura lubiła Nowy Jork. Wystarczy wziąć do ręki któryś z popularnych magazynów, aby natknąć się na jej zdjęcie: jako modelki lub gospodyni balu na cele dobroczynne, uczestniczki przyjęć u którejs z gwiazd filmowych.

Libby czuła się załamana, niepotrzebnie tego słuchała. Tak naiwnie dała się podejść.

– Mielście dzieci? – spytała w końcu.

– Nie, nie mieliśmy. Bóg jeden wie, jak bardzo chciałem mieć dzieci, lecz Laura nie mogła ich mieć. Rzuciłam się więc w wir pracy. Firma RJM rozwijała się. Stawałem się coraz bogatszy. Wciąż kupowałem nowe hotele. – Przerwał i popatrzył na nią. – Pracowałem, ale sam siebie pytałem, po co. Miałem wszystko. Również głęboką pustkę w sobie.

Libby nie chciała słuchać łzawej opowieści, często powtarzanej przez żonatych mężczyzn, jak to są niezrozumiani przez własne żony. Dostyc miała swego bólu. Przymknęła oczy... Starła przekonać siebie, że to wszystko nie ma sensu, zwłaszcza po ostatnich wiadomościach. Jeśli sądził, że ona da się wciągnąć w błahą przygodę, to się myli.

Jej zły humor narastał; w bliżej nieokreślonych okolicznościach ten wielki biznesmen wziął sobie wolne, bo poczuł się zmęczony. Dla kaprysu zatrzymał się tu, w zajezdzie „Pod Krzakiem Róży”, bo to dla niego coś nowego. Któregoś dnia przypomni sobie swą piękną żonę, rzuci Przylądek, zajazd „Pod Krzakiem Róży”, ją – Libby Peterson, i co wtedy?

– Co się stało? – spytał, widząc jej minę.

Rzuciła widełki i wstała.

– Właśnie zastanawiałam się, co myśli twoja żona o tym twoim zachowaniu? Czy rozumie, dlaczego nie piszesz ani nie dzwonisz?

A może dzwonisz?

Ta myśl jeszcze bardziej ją zirytowała. Jak mogła być tak naiwna, by marzyć o znalezieniu się w łóżku z biednym, opuszczonym Rushem, podczas gdy on w każdej chwili mógł wyjechać do Nowego Jorku, gdzie w luksusowym mieszkaniu czeka elegancka żona.

– Musi być bardzo wyrozumiała – rzekła Libby z trudem. – A może wasze małżeństwo, to tylko taki nowoczesny związek, w którym jedno jest całkowicie niezależne od drugiego?

Odwróciła się, starając opanować, ale gniew brał już górę.

– Libby, dlaczego jesteś taka zła?

– Zła? Nie jestem zła! Kto tu mówi o złości? – Jej niebieskie oczy błysnęły w jego kierunku, a dłonie zacisnęły się w pięści. „Chciałem cię poznać, Libby” – przedrzeźniała jego słowa w myślach. Zebrała opadające na ramiona włosy. – Owszem, jesteś uczciwy. Wielu mężów nie wspomniałoby o swoich żonach...

– Ale jeszcze nie skończyłem opowiadania...

– Oczywiście, Rush – przerwała mu. – Teraz usłyszę, jak to Laurą nigdy cię nie rozumiała, jak co wieczór w łóżku wykręcała się bólem głowy... Powiesz, że mężczyzna taki jak ty potrzebuje kobiety właśnie takiej jak ja: łagodnej, miłej, troskliwej. Na dodatek jestem właśnie wdową, a mężczyźni są przeświadczeni, że wdowy przede wszystkim potrzebują ich najbardziej! – wy

buchnęła i w tym momencie zauważyła wesołe ogniki w jego oczach, jakby bawił się jej kosztem.

– Libby – powiedział bardzo spokojnie. – My jesteśmy rozwiedzeni. Nie jestem żonaty. Jestem rozwiedziony od ponad dwóch lat.

Nie wiedziała, jak zareagować. Ponownie zgarnęła kosmyk włosów znad ucha, owinęła wokół palca i rzekła:

– Rozumiem.

– Ale dlaczego, na miłość boską, jesteś taka zła?

– Bo myślałam, że jesteś drań i parszywa kreatura. I ciągle tak myślę. Każdy, kto rozmyślnie chce uwieść kobietę...

– Ale nie zrobiłem tego – rzekł ze śmiechem. – Nie mogłem ci opowiedzieć od razu wszystkiego. Jej oczy ciągle jeszcze płonęły gniewem.

– Celowo tak mnie podszedłeś. Zrobiłam z siebie idiotkę.

– Może?

– Widzisz? Nawet się przyznajesz!

– A nie chciałabyś wiedzieć, dlaczego?

– Nie. – Odwróciła się na pięcie i chciała odejść, lecz chwycił ją oburącz i obrócił twarzą do siebie.

– Czemu nie chcesz się przyznać?

– Nie ma do czego – ciągle się nie poddawała.

– Kłamczucha – rzekł zduszonym głosem z ustami blisko jej

warg.

W całym ciele poczuła dziwną słabość. Jeszcze starała się wymknąć z jego rąk, próbowała go odepchnąć, ale robiła to bez przekonania.

– Libby Peterson, dlaczego nie chcesz się przyznać? – wyszeptał, dotykając ustami jej szyi.

Zaczęła drżeć, kiedy dłońmi wyczuła twardość jego mięśni. Zapach morza zmienił się w zapach Rusha Masona. Usta przesuwaly się w kierunku ucha, a kiedy dotknęły jego koniuszka, wyszeptał jeszcze raz.

– Przyznaj się, Libby.

– Do czego?

– Że mnie chcesz.

Powoli przyciągnął ją do siebie. Zamknęła oczy, bo ujął jej głowę w swe silne dłonie. Jej ręce bezwładnie chwyciły jego kark i zanurzyły się w czarne włosy.

Wzajemnie spragnione siebie usta odszukały się same.

## Rozdział 7

Jej świat zamknął się w jego ramionach. Wszystko inne przestało istnieć: ocean, fale, chrapliwe krzyki mew... Czuła, jakby zapadała się w głębie, oznaczającą tylko pożądanie, inne niż w stosunku do Joeego. Z Rushem wszystko było surowe i prymitywne, domagające się zaspokojenia, do bólu rozkoszne...

Lecz kiedy poczuła palce Rusha pieszczące jej piersi, szarpnęła się odruchowo.

– Rush...

Zamknął ustami jej usta, uciszając protest.

Jęknęła cicho, oddając pocałunek. Poczowała twardość jego ciała napierającego na nią. Podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Marzyłem o takich pocałunkach. Spać nie mogłem po nocach, tak bardzo cię chciałem....

Wymknęła się jednak z jego ramion. Przykucnęła na piasku.

– Zdaje się, że zeszliśmy trochę z wyznaczonej drogi. ^

Ukląkł obok niej, chwycił jej głowę w dłonie i rzekł:

– Nie udawaj, że nic się nie stało. Wszystko się zmieniło i nabrało nowego znaczenia.

– Przecież dzisiaj rano mówiłeś, że chcesz mnie tylko poznać. Ty natomiast chcesz po prostu pójść ze mną do łóżka.

Cofnął ręce.



– Mylisz się.

Z furją zaczęła grzebać w piasku.

– Czyżby? Lepiej zabierzmy się do zbierania muszli.

– Do cholery, Libby! Co ja mam zrobić, byś wreszcie zrozumiała? – Chwycił ją ponownie za ramiona i zmusił, by popatrzyła na niego.

– Porozmawiaj ze mną i przekonaj mnie, że nie chodzi tylko o seks.

– W porządku. Jeśli to ma ci pomóc, jestem gotów ustanowić rekord świata w tym względzie.

– Na początek powiedz mi coś więcej o swojej żonie.

– Ekszonie. – Starał się zebrać myśli. – Ma na imię Laura. Jest bardzo piękna. Wychowaliśmy się razem. To wszystko – skończył, wzruszając ramionami.

Jak tylko mógł, chciał uniknąć tego tematu, ale Libby drążyła dalej.

– Więc od dwóch lat jesteście rozwiedzeni?

– Tak. A jak długo ty i Joe byliście małżeństwem?

– O, nie, panie Mason! Ja zadaję pytania. Żadnych uników.

– Posłuchaj, Laura się już w ogóle nie liczy w moim życiu. To przeszłość. A my rozmawiamy o przyszłością.

Libby szła, rozważając jego słowa. Mimo niedopowiedzeń było wyraźnie widoczne, że pozostała w nim rana po nieudanym

małżeństwie. I nie będzie się mógł zaangażować uczuciowo w nic nowego, dopóki tej rany nie zaleczy.

– Rush, muszę już iść. Goście będą się schodzić. Muszę posprzątać pokoje, poza tym nie lubię na dłużej opuszczać zajazdu.

– Przecież Klara jest na miejscu. Poradzi sobie.

– Nie zapomnij o muszlach. – Szła dalej.

Stał przed nią z rękami na biodrach.

– Libby Peterson, jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

Ominęła go bez żadnej reakcji.

Stał, patrząc, jak się oddalała. Gdy zniknęła mu z oczu, poszedł wzdłuż plaży w kierunku starego doku. Siedząc obserwując małą, drewnianą łódkę kołyszącą się na fali, myślał o Libby Peterson. Co o niej wiedział? Niewiele. Piękna, miła, kochająca Przylądek i swój zajazd. Jest wdową. Ona... Stop!

Ten punkt trzeba rozważyć. Potarł w zamyśleniu brodę, wyczuwając pod dłonią odrastający zarost. Była kobietą, która głęboko ceni małżeństwo i wzajemne oddanie. Z kolei on w tej chwili uważał małżeństwo za ostatnią rzecz, jakiej mu potrzeba. Drugi raz tak prędko i bezmyślnie nie da się w to wrobić...

Ale, do diabła, chciał się z nią kochać! Dotyk jej ciała doprowadzał go do pasji. Nawet teraz, na samą myśl o niej, czuł

łaskotanie w podbrzuszu, a coś twardego wypychało mu dzinsy.

Musiał przyznać, że ona miała rację. Jemu chodziło o to, by wziąć ją do hangaru i kochać się całe popołudnie. Natomiast jej pragnienia były inne.

Założył ręce na piersi i zapatrzył się w morze.

Zabiegał o nią, przynosił jej kwiaty, lecz nadaremno. Mimo niepowodzeń przeczuwał spełnienie swoich pragnień. On chciał mieć Libby teraz. A to, czego chciał Rush Mason, zwykle dostawał.

Rush dolał wina do kieliszka Libby. Była już niemal północ. Rozleniwieni siedzieli na werandzie, rozkoszując się nocną ciszą.

– I co się wtedy stało? – spytała Libby.

– Powiedziałem, że nie mam ochoty bawić się w lekarza. I zwiąłem stamtąd w podskokach.

Świerszcze grały w ogrodzie, lekka bryza dochodziła od morza, niosąc z sobą zapach wodorostów.

– Nie wierzę ci, Rush – powiedziała. – Założę się, że już jako dziewięcioletni chłopak musiałeś podobać się dziewczynom. I kiedy ta mała przyszła do ciebie, na pewno zagrałeś przed nią rolę lekarza.

– Przysięgam, Libby, nie zrobiłem tego. Zresztą ona nie była wcale taka mała. Miała prawie dwanaście lat. A ja byłem nieprzytomny ze strachu.

Libby uśmiechnęła się i położyła głowę na oparciu leżaka.

– Letnie miłości! Pamiętam: rodzice zabierali mnie, jeszcze jako nastolatkę, na wakacje na Przylądek...

– Ej, czy to przypadkiem nie ty prosiłaś małego, zahukanego chłopaka, by wcielił się w doktora?

– Odpadam z góry albowiem nie jestem starsza od ciebie o trzy lata... – Zaśmiała się.

– Masz rację. – Popatrzył na nią zmrużonymi oczyma. – Nie mógłbym dać ci więcej, niż... – Pokiwał głową. – Nie, nie powiem ile.

– Mam trzydzieści trzy lata.

– Tak właśnie myślałem – powiedział.

– A ty? – Lustrowała go od góry do dołu. – Trzydzieści dziewięć?

– Nie. Trzydzieści siedem.

– Taki młody i już olbrzymie sukcesy, no, no!

Jedną ręką oparł się na leżaku, a palcami drugiej delikatnie gładził ją po policzku.

– Nie tylko sukcesy. Dzisiaj po południu trafiła mi się przegrana i to z twojej winy.

– To była tylko pierwsza runda – powiedziała lekko.

– Więc dasz mi szansę? – rzekł z uśmiechem, targając kosmyk jej włosów.

– Gra składa się z dziewięciu rund...

– A teraz którą mamy?

– W tej chwili? Początek pierwszej. Pochylił się nad nią, pocałował delikatnie w policzek i podniósł się.

– Muszę dobrze wypocząć przed drugą rundą – rzekł z uśmiechem, zabierając pustą butelkę po winie. – Dobranoc, Libby.

Zaskoczona usiadła i patrzyła, jak schodził po stopniach werandy. To bez sensu, ale poczuła się zawiedziona tym faktem. Na dodatek odczuwała przemożne pragnienie, by ją pocałował.

Bardzo tego chciała.

Następnego dnia zaproponował w sobotę ognisko na plaży, ze śpiewem i smażeniem kiełbasek.

– Zaproś wszystkich gości – powiedział. – Pośpiewamy trochę.

– Rush, cudowny pomysł! – zawołała z błyskiem w oczach. – Powiem wszystkim rano.

Pozbierał kawałki drewna wyrzuconego przez morze, przyniósł trochę suchych gałęzi z podwórza, Ułożył wszystko w mały stos i usiadł obok. Przypominało mu się lato, które spędził tu z Laurą. Westchnął boleśnie. „Co się między nimi zepsuło? I kiedy?... O, cholera! Nie warto o tym myśleć” – pomyślał.

Ale wspomnienie powracało.

Tej nocy, kiedy gromada gości z zajazdu wesoło bawiła się przy ognisku, Rush obserwował zachowanie Libby. Śpiewała

ludowe piosenki, entuzjazm i radość innych udzieliły się jej od razu. Odblaski ognia tańczyły na jej twarzy, zmieniając barwę skóry. Podobnie jak Laureę wypełniają ją szalona miłość życia i na tym kończyło się ich podobieństwo.

Spojrzał na Libby ubraną w stary sweter. Kilka pasemek jasnych włosów wymykało się spod opaski podtrzymującej „koński ogon”. Stroju dopełniały wypłowiałe i przetarte na kolanach dzinsy oraz stare tenisówki.

Uśmiechnął się do siebie – nie widział nigdy Laury w takim stroju. Ona czegoś takiego nie założyłaby nawet w domu.

Miała chyba najbogatszą kolekcję dzinsów w kraju. Była zawsze zadbana – włosy idealnie uczesane, staranny makijaż przez cały dzień. Nawet przed pójściem do łóżka nacierała skórę przeróżnymi kremami.

– Z czego się tak śmiejesz? Chwycił Libby i posadził obok siebie.

– Z ciebie... i Laury.

– Czyżbyś dostrzegł ogromne podobieństwo?

– Nie, mocno się różnicie. Nie tylko fizycznie; ty jesteś blondynką, zaś ona brunetką. Ty jesteś bardziej rzeczywista, Libby. Przypominasz różę, która rośnie obok werandy: cudowna, delikatna, zachwycająca w swym naturalnym pięknie... Natomiast Laura jest jak kwiat z cieplarni. Jego słowa wprawiły ją w

zakłopotanie.

– A ja myślałam, że powiesz: kłująca jak róża – powiedziała, pokazując zęby w uśmiechu.

– To także!

Nałożyła kiełbaskę na koniec patyka i wyciągnęła w stronę ogniska.

– Pamiętam takie zabawy z dzieciństwa. Nigdy nie przepadałam za jedzeniem smażonym przy ognisku, ale sama czynność nadawała specjalnego smaku każdej w ten sposób przyrządzanej potrawie.

– Czy w ogóle jest coś, za czym przepadasz?

– Na to pytanie nie odpowiem, panie Mason. Nie chcę ci zdradzać za dużo, bo zaraz przegram.

Ukrył zadowolenie: już połknęła przynętę, obeszała ognisko, siedziała obok niego. Objął ją ramieniem.

„O Boże! ta noc mogłaby trwać wiecznie” – westchnął w myślach.

– Nie! – Wybuchła śmiechem. – Rush, nie!

Odrzucił słomkowy kapelusz i nałożył kowbojski.

– A ten? – spytał.

Szli deptakiem Hyannis, kupując różne drobiazgi dla niego. Pomimo niedzielnego popołudnia sklepy były ogromnie zatłoczone. Zawsze zdumiewało go, że ludzie z Przylądka potrafią

tracić czas na robienie zakupów.

– Nie jesteś typem pasującym do kowbojskiego kapelusza – rzekła Libby.

– Dobra – powiedział ugodowo. – Wobec tego jaki jestem?

– Pozwól, że się zastanowię – rzekła, przekrzywiła głowę i wzięła z półki czapkę baseballową. – Może ta.

– Libby, przecież to nie czapka Red Soxów\* [Czerwone Skarpety (pisownia zastrzeżona) – popularna drużyna baseballowa na Przylądku Dorsza (przy. tłum. )]. Nie mogę jej nosić. To byłaby zdrada.

– Ciągłe jesteś kibicem Red Soxów?

– Libby, jeśli ktoś raz zaczął im kibicować, to potem pozostanie wierny na całe życie.

Wyjątek stanowiła Laura – kiedyś zapalony kibic Red Soxów, po przeprowadzce do Nowego Jorku przerzuciła swą miłość na Yankesów\* [Nazwa drużyny baseballowej z Nowego Jorku (przy. tłum. )].

– Chodź – powiedziała Libby, zabierając mu czapkę. – Jeżeli chcesz czapkę Red Soxów, to musimy którejś niedzieli pojechać do Fenway Park na ich mecz.

– Naprawdę? W takim razie może w nadchodzącą niedzielę?

Potrząsnęła przecząco głową.

– To przypada na dzień przed przyjazdem Deirdre i jej ekipy.



Nie da rady. Jest jeszcze dużo pracy. – Uśmiechnęła się. – Rzeczywiście myślisz, że moglibyśmy w niedzielę? – spytała z niedowierzaniem, ale i nadzieją w głosie.

– Nie martw się, ze wszystkim zdążymy na czas, a jutro telefonicznie zarezerwuję bilety.

– Fenway w czerwcowe, niedzielne popołudnie – rzekła z rozmarzeniem. – Poza zajazdem i Przylądkiem to moje ulubione miejsce.

– Zupełnie się z tobą zgadzam.

Tydzień mijał pracowicie. Libby i Klara zajęte były odkurzaniem i wycieraniem, woskowaniem podłóg i myciem okien.

Z kolei Rush założył pomalowane okiennice, pomalował poręcze i schody werandy. Przyciął róże, wyplewił ogród, przybił luźne szczeble, zreperował kran i wymienił popękane kafelki w łazienkach. Na koniec przystrzygł krzaki i wyrównał trawnik. Podczas pracy dużo myślał o Libby.

Zaczął się również zastanawiać nad swoją przyszłością. Sam coraz częściej łapał się na tym, że ma ochotę rozpocząć nowe życie z Libby u swego boku. Pozostawał tylko problem, jak to zrobić: jego życie, to Nowy Jork; jej – Przylądek.

Od dawna nie czuł się tak szczęśliwy, jak obecnie w tym zajeździe.

Przypomniał sobie swój związek z Laurą. Żyli zgodnie przez pierwszy rok w Hyannis. Potem przeprowadzili się do Wellesley, gdzie Laura odkryła uroki intensywnego życia towarzyskiego. Kiedy on chciał pojechać na mecz, ona przesiadywała w klubie.

Potem przeprowadzili się do Nowego Jorku. Jej dni wypełnione były ciągłym pasmem przyjęć, obiadów i zabaw, zaś jego – pracą, której miał coraz więcej. Widywał Laurę jedynie rano w łóżku, najczęściej śpiącą. Kiedy późnym wieczorem wracał do domu, zwykle zastawał gości, którzy wpadli na drinka czy kolację.

Przez ostatni rok często pracował do późna. Nie zwracał specjalnej uwagi, gdy jej nie było w domu. Wyczerpany, kładł się do łóżka i z miejsca zasypiał. Nie czekał nawet na jej powrót.

Czasami zastanawiał się, czy może dzieci zmieniłyby tryb ich życia. Pragnął ich bardzo, ale zrodzonych z wielkiej miłości, a nie jako warunku cementującego na siłę ich rozpadające się małżeństwo. Rozpoczęli wspólne życie z wielkiej miłości, kończyli – z obojętnymi, pustymi sercami.

Rush obserwował Libby z zachwytem.

– Zachowujesz się jak prawdziwy znawca baseballa – rzekł, obejmując ją ramieniem.

– Nie powinni grać tak szeroko. Długimi piłkami też nic nie wskórają – denerwowała się.

– Bez obaw, wygrają – uspokajał ją Rush.

Przytuliła się do niego. Ten wspólny wypad na mecz był rzeczywiście udanym pomysłem. Dzięki temu czuła się szczęśliwie i młodo, przepełniona radością i miłością dla całego świata.

Rush zadziwił ją. Skończył z aluzjami na temat fizycznego współżycia. Odpowiadało jej to, albowiem nie była pewna, czy jest już gotowa. Wiedziała tylko, że w ciągu ostatnich tygodni jej uczucia pogłębiły się. Czasem walczyła z pokusą, by samej zacząć... Ale nie, wracała do pustego, ogromnego łóżka i marzyła o nim.

Ależ jest idiotką!

Przecież sama chciała więcej czasu, by go lepiej poznać, bo bała się przypadkowych związków. Może mieć pretensje wyłącznie do siebie. Na dodatek dręczyło ją, kiedy obowiązki wezwą Rusha do Nowego Jorku. Rozmawiali wystarczająco długo i szczegółowo, by Libby mogła się przekonać, że zapomniał o byłej żonie. Natomiast, jeżeli zdarzą się problemy w pracy firmy, Libby nie miała żadnych wątpliwości, że Rush natychmiast powróci do miasta. Co się wówczas z nią stanie?

## Rozdział 8

Samochód wolno zajechał przed dom. Libby wybiegła mu naprzeciw.

– Deirdre! – zawołała, ściskając przyjaciółkę. – Witaj w domu!

– Powitanie, jakbyś mnie nie widziała od lat! – zawołała Deirdre, odwzajemniając uściski. – Weszła na werandę i od razu zauważyła zmiany. – Libb, ta buda wygląda cudownie. Wymalowałaś ją?

– Nie, tylko okiennice, poręcze i schody. Teraz wygląda jak nowa, co?

– Lepiej – zapewniła ją Deirdre. – Wygląda przytulnie i swojsko. Żeby tylko udało się oddać na zdjęciach tę atmosferę – dodała, wdychając głęboko czyste powietrze.

– To już twoja w tym głowa. – Libby zaśmiała się. – A gdzie reszta ekipy?

– Niedługo tu będą. Ron Casey i Elise Connor. On jest fotografem, ona moją asystentką. Zdaje się, że coś ich łączy – rzekła z łobuzerskim uśmiechem. – Zadowolilibyś ich przylegającymi do siebie pokojami.

– Mam doskonały zestaw: dwa pokoje połączone wspólną łazienką – zachichotała Libby.

– Doskonale!

– Chodź, Dee, zobaczysz swój pokój – powiedziała Libby.

– Najpierw wezmę swój bagaż. – Deirdre rozejrzała się dookoła. – Jedna rzecz mi się nie podoba w tych waszych wiejskich zajazdach: nie macie ani portiera, ani chłopców hotelowych.

Nagle wypatrzyła Rusha rozebranego do pasa, z opaloną piersią błyszczącą od potu, który kosił trawnik.

– No, proszę! – zawołała. – Ależ masz tu chłopca! Kto to?

– Majster do wszystkiego – powiedziała Libby, podnosząc ciężką torbę przyjaciółki. – Co ty tu nosisz? Złoto? Kamienie?

– To moje kosmetyki. – Machnęła niedbale ręką i nadal przyglądała się Rushowi. – Majster do wszystkiego? Tak właśnie odpowiedziała Lady Chatterley swemu mężowi. Skądś tego faceta znam. Jestem pewna, że gdzieś już go widziałam. – Zamyśliła się.

– Zdaje ci się.

– Możliwe. Swoją drogą, piękne ciało. Jak on się nazywa?

– Mason. To on wykonał tu wszystkie roboty. Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradziła.

Deirdre spojrzała prosto w oczy Libby.

– No, no, no. A teraz możemy zobaczyć pokój.

Weszły do domu i Libby zaprowadziła przyjaciółkę na miejsce. Gdy otworzyła drzwi sypialni, Deirdre stanęła jak wryta. Nie spodziewała się tak urządzonego pokoju.

Pod przeciwległą ścianą stało ogromne łóże z łukowatym baldachimem i zasłonami, które w każdej chwili można było opuścić. W boczną ścianę wbudowano kominek. Przed nim stały dwa wygodne fotele oraz stolik ze starym serwisem do kawy i srebrną tacką z kanapkami i ciasteczkami. W oddzielnych pojemniczkach leżały plasterki cytryny i kostki cukru.

– Tu jest cudownie! – zawołała Deirdre, zdejmując buty.

Podeszła do okna i otworzyła je na całą szerokość, wdychając słodki zapach świeżo skoszonej trawy.

Właśnie w tym momencie ucichła kosiarka. Deirdre zmarszczyła czoło, patrząc na stojącego niedaleko Rusha.

– Mogłabym przysiąc, że gdzieś tego faceta widziałam.

Libby zawahała się. Czy to możliwe, żeby Deirdre go знаła?

Mieszkają oboje w Nowym Jorku. Ona często bywa na różnych spotkaniach, balach, rautach. Przyjrzała się swej koleżance, przed którą nie miała żadnych sekretów. Pod nieskomplikowaną powierzchownością kryła się ciepła i wyrozumiała natura.

Libby nie była jednak przygotowana do zwierzeń na temat Rusha.

Tymczasem Deirdre przebrała się w dzinsy i jedwabną koszulkę i usiadła w fotelu naprzeciw Libby.

– Cieszę się, że Ron i Elise przyjadą trochę później. Możemy sobie pogadać. – Wzięła do ręki filiżankę herbaty.

– Jak ty to robisz, Dee? – spytała Libby. – Jesz najbardziej tuczące rzeczy, a utrzymujesz tak szczupłą figurę. To niewiarygodne.

– Wszystkie kobiety z rodu Reynoldsów wyglądają jak wychudzone konie. – Roześmiała się. Podwinęła nogi pod siebie i upiła łyk herbaty. – I co nowego? Libby wstrząsnęła ramionami.

– Niewiele, przygotowywałam się na twój przyjazd.

– Aha – powiedziała Deirdre, patrząc Libby prosto w oczy. – A ten majster? To nowy nabytek? Nie było go tutaj poprzednio.

– Tak. Pojawił się kilka tygodni temu, szukał pracy – odpowiedziała Libby, mieszając cukier w filiżance. – O czym chciałabyś pogadać?

– O tobie i o nim. Spałaś z nim?

– Dee!

– No, nie udawaj zakonnicy. Jesteś w nim zakochana, albo ja nie nazywam się Deirdre Reynolds.

– Jesteśmy, to znaczy... lubimy się.

– Więc w czym problem? Nie mów mi tylko, że nie dopuściłabyś do łóżka faceta, który nie skończył szkoły średniej. Dyplom nie jest u mężczyzny najważniejszą rzeczą.

– Ja tak wcale nie myślę! Kwestia wykształcenia nie ma z tym nic wspólnego.

– Poczekaj! Chcesz mi wmówić, że jest księdzem?

– Nie, to nie to, Dee. Czy nazwisko Rush Mason coś ci mówi?

– Nie, nic. – Deirdre zmarszczyła czoło.

– A Rushwood James Mason? Deirdre poderwała się.

– R. J. Mason? Oczywiście! Nic dziwnego, że wydawał mi się znajomy. Ale ty chyba bujasz? Nie wierzę ci. Co on robi na trawniku? Zaraz! On kupił ten zajazd?

– Nie, on jest moim pracownikiem. Pojawił się tu przed kilkoma tygodniami w poszukiwaniu pracy. Zaangażowałam go nie wiedząc, kim jest i nadal mało o nim wiem.

– Nie znam go osobiście, choć widywałam go na oficjalnych przyjęciach czy spotkaniach. Zawsze z pewnej odległości i w koszuli, oczywiście. – Zaśmiała się.

Libby była w rozterce. Z jednej strony chciałabym wiedzieć o nim wszystko, ale z drugiej wolałabym, żeby poznawali się sami, bez pośrednictwa innych osób.

– Rush Mason to nie ktoś pierwszy lepszy z brzegu. Wywodzimy się z dwóch różnych światów. Teraz jest tutaj, ale wcześniej czy później wróci do swego zajęcia, a wtedy...

– Skąd wiesz, że wróci do dawnej pracy? Wyjechał ponad rok temu. Z wyjątkiem jego zastępcy, Alexa Castle, nikt nie wie o jego prawdziwych zamiarach. – Deirdre oblizwała wargi. – A on jest tu – rzekła. A potem, bez związku dodała: – Alex Castle jest cholernie przystojny.



– Znasz go? – spytała Libby.

– Widywałam go. Należał do dziesiątki najbardziej znanych ludzi na Wschodnim Wybrzeżu. – Postawiła pustą filiżankę i wyciągnęła nogi. – R. J. Mason – rzekła. – Tutaj, w tym zajeździe. Człowiek dużego formatu. Masa pieniędzy. Mówi się powszechnie, że zniknął z pola widzenia dlatego, bo jego była żona wyszła za mąż za Theo Davenporta.

– Wyszła ponownie za mąż? – spytała zaskoczona Libby. – Nic mi o tym nie wspominał. Może sam nie wiedział o tym?

– Musiał wiedzieć, ponieważ ten ślub odbył się w dzień po rozwodzie. Poza tym towarzyszył mu wielki skandal.

– Skandal? – spytała Libby niepewna, czy chce dalej słuchać. Ale Deirdre już ciągnęła:

– Tak, już wiem, ona i R. J. pojechali do jednego z tych sławnych ośrodków na Morzu Karaibskim: Casa de Campo czy Round Hill. Właśnie tam Laura poznała Theo Davenporta, tego sławnego i cholernie bogatego armatora.

Spojrzała na Libby, która potrząsnęła głową w geście zaprzeczenia. Nazwiska, które Deirdre wymawiała, nic jej nie mówiły. Życie na Przylądku toczyło się z dala od wielkiego świata.

– W każdym razie – kontynuowała Deirdre – podobno Laura i Theo zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Kiedy

wrócili do domu, cały Nowy Jork wiedział o ich romansie, z wyjątkiem R. J. Ten facet to kliniczny przykład pracoholika. On żyje i oddycha jedynie pracą, dlatego nie zauważył, co Laura wyprawiała pod jego nosem. Nikt właściwie nie potępiał Laury. Była piękną i ponętą kobietą, a R. J. cały czas spędzał w pracy. Zjawił się facet, dla którego liczyła się tylko ona, więc wybrała jego.

Dla Libby stało się wszystko zrozumiałe. Rush był taki zgorzkniały, ponieważ z pewnością kochał Laureę, więc kiedy go zostawiła, przyszło załamanie. Czy niewierność pięknej żony tak bardzo zraniła jego dumę?

– W osiem miesięcy później wyszło na jaw, dlaczego Laura i Theo pobrali się tak szybko. – Głos Deirdre przerwał ciszę. – Laura urodziła piękne maleństwo. Niedawno w jakimś piśmie widziałam zdjęcie całej szczęśliwej trójki.

Deirdre jeszcze coś opowiadała, ale Libby już nie słuchała. Przypomniała sobie, z jakim trudem zdobył się na wyjaśnienie, że Laura nie mogła mieć dzieci. A to było coś zupełnie innego: to on nie chciał mieć dzieci. Albo nie mógł?

Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Czy to możliwe, by Rush należał do mężczyzn, którzy przez płodzenie dzieci chcieli udowodnić swą męskość? W takim razie szybkie macierzyństwo żony w innym związku mogło stanowić dla niego duże

upokorzenie, wskutek którego porzucił pracę i ruszył „w kraj” by się „sprawdzić”

Dotknęło ją to, że skłamał. Potrafi dużo wybaczyć, ale kłamstwo? Nie! Ono niszczy zaufanie.

Łzy napłynęły jej do oczu. W głowie kołatała tylko jedna myśl: okłamał mnie, okłamał mnie...

## Rozdział 9

Kiedy Ron Casey i Elise Connor dotarli do zajazdu, Libby dziwiła się, skąd Deirdre wiedziała o ich związku, bowiem kłócili się niemal bez przerwy. Czy tak teraz wygląda miłość?

Po rozpakowaniu rzeczy wszyscy spotkali się w pokoju przyjęć. Spędzili tu trochę czasu na małej pogawędce, po czym Ron i Deirdre zrobili przegląd pokoi, wybierają najlepsze do zdjęć.

Gdy Libby przygotowywała lekką kolację, Elise Connor wypytywała ją o codzienne zajęcia, a potem zanotowała wszystkie szczegóły. Wkrótce kolacja była już gotowa i Libby zaprosiła wszystkich do jadalni. Rushowi zostawiła na stole pośpiesznie napisaną karteczkę:

*Rush, będę bardzo zajęta Deirdre i zdjęciami. Nie mogę zjeść z tobą kolacji. Przyrządź sobie co zechcesz. Lodówka pełna.*

*Libby.*

Rush wszedł do kuchni, pogwizdując wesoło. Miał za sobą udany dzień. Po wystrzyżeniu trawnika udał się na bardzo długi spacer brzegiem morza. Widział przyjazd Deirdre i celowo zniknął z pola widzenia.

Lecz teraz, rozglądając się po kuchni, czuł, że dobry nastrój mija. Izba była wygodna i czysta jak zawsze, ale bez Libby nie miała w sobie życia.

Zauważył kartkę. Domyślił się, że czeka go samotny wieczór. Ona przecież miała ważniejsze sprawy niż jego towarzystwo. Ze śniadaniem też nie wiadomo, jak będzie...

Następnego ranka zaskoczył go widok śmiejących się i żartujących przy stole ludzi.

– Bardzo wczesnie wstaliście – rzekł, zwracając się do Libby.

– Tak, bo zaraz zaczynamy – powiedziała. – To życzenie Deirdre, teraz ona tu rządzi.

Wyczuł w Libby nieznany mu dotąd opór w stosunku do swojej osoby. Coś było nie w porządku.

– Rush, to jest Deirdre Reynolds. Deirdre, to Rush Mason – dokonała prezentacji.

Patrząc na tę szczupłą, czarnowłosą kobietę, upewnił się jeszcze bardziej, że coś tu nie gra.

– Elise Connor i Ron Casey, Rush Mason – Libby zawahała się przez chwilę – mój pracownik.

Rush podał rękę Ronowi, skłonił się w kierunku Elise i usiadł przy stole. Ciągle nie rozumiał nagłej zmiany w zachowaniu Libby. Odwrócona do Deirdre omawiała z nią plan zajęć na dzisiejszy dzień, nie zwracając na Rusha najmniejszej uwagi. Nie

pozostawało mu nic innego, jak odsunąć krzesło i przeprosić wszystkich, zbierając się do wyjścia. Dopiero wtedy Libby spojrzała na niego, ale jej zimny, grzeczny wzrok nic mu nie powiedział. Odwrócił się i ścieżką wiodącą w kierunku plaży skierował się nad wodę. Czuł, że Libby wymyka mu się z rąk.

Podniósł kamień i z rozmachem rzucił daleko w morze. Włożył ręce do kieszeni i ruszył przed siebie rozmyślając.

Był zły, że zepchnęła go na pozycję najemnego robotnika, mimo uczuć, jakie do siebie żywią. Dlaczego jej postępowanie doprowadza go do szału?

Usiadł na pomoście. Za wszelką cenę chciał dotrzeć do prawdy. Uświadomił sobie swój strach i obawę, że może ją stracić. Nagłe wszystko stało się jasne: Libby znaczy dla niego bardzo dużo i to nie jako kobieta, z którą można się przespać, ale...

Zatopiony w myślach, obserwował fale załamujące się na nabrzeżu. Patrzył, jak wodorosty oplatają polery wbite w dno.

Odetchnął głęboko – czuł, że odpływa z niego wzburzenie.

Powinien być z nią zupełnie szczery. Jeżeli chce z nią wiązać swoją przyszłość, nie może prowadzić żadnej gry. W ciągu ostatnich tygodni odnalazł coś cennego, czego nie można zmarnować.

Musiał się poddać uczuciu, lecz chciał tego.

Wpadł we własne sidła. Mówił, że chce ją tylko poznać, a teraz

wie, że zależy mu na niej bardziej niż na kimkolwiek na świecie.

Przede wszystkim musi jej opowiedzieć o wszystkim. Nie będzie to łatwe. Jest dumny, a pewne sprawy nie stawiają go w najlepszym świetle. Dla wspólnej przyszłości zdobędzie się na szczerą spowiedź.

Pełna pomysłów Deirdre usiłowała wcielić je w życie. Ronowi wyznaczyła pokoje, w których miał zrobić zdjęcia. Elise zbierała wszystkie starocie i układała je w artystycznym porządku. Wyniosła z sypialni Libby wszystkie srebrne bibeloty i zgromadziła w swoim pokoju. Na tle wazonów wypełnionych świeżo ściętymi różami tworzyły atmosferę romantycznej intymności.

Ponieważ komunikaty radiowa zapowiadały na czwartek sztorm nad Przylądkiem Dorsza, Deirdre zdecydowała się na przyśpieszenie zdjęć.

Libby ubrana w staromodną, białą sukienkę, z włosami upiętymi na czubku głowy przy akompaniamencie trzasków aparatu Rona doskonale wywiązywała się z roli gospodyni. Nalewając herbatę ze srebrnego dzbanka, czuła, że jest obserwowana. Rzeczywiście – Rush stał na trawniku w niewielkiej odległości od okna i patrzył w jej stronę. Za chwilę już go nie było.

– Źle się czujesz? – spytała zatroskana Deirdre.

– Coś ty?! – Libby zdobyła się na nikły uśmiech. – Wspaniale odpoczywam. Rzadko się zdarza, że właścicielka zajazdu ma czas, by się i podziwiać dzieło własnych rąk.

– Nie opowiadaj! Jesteś jakaś rozkojarzona. Dawno nie widziałam cię w takim stanie.

– Naprawdę, Dee, czuję się dobrze.

Martwię się tylko, czy na zdjęciach mój zajazd będzie dobrze wyglądał.

– No, wiesz! Moja w tym głowa, by tu wszystko grało.

Libby nie życzyła sobie niczego więcej.

Tego wieczoru Libby, niosąc tacę pełną brudnych naczyń z jadalni, natknęła się na Rusha siedzącego przy stole.

– Cześć – rzekła, oblizując nerwowo wargi i stawiając tacę na stole. – Jadłeś już?

– Tak i czekam na ciebie – powiedział krótko.

– Cóż, byłam bardzo zajęta...

– Libby – przerwał jej spokojny głos Rusha – zostaw te brudne gary. Zapraszam cię na spacer. Muszę z tobą porozmawiać. Prawie cię nie widywałem od niedzieli.

Jego niski głos przyprawił ją o drżenie.

– Libby. – Jego usta niebezpiecznie zbliżyły się do jej ucha. Wiedziała, że nie ma żadnych szans.

– Dobrze, zgadzam się. Opiekuńczym gestem objął ją za



ramiona i ruszyli w kierunku plaży.

Słońce dobiegło widnokregu i jego czerwień podświetlała gęste, skłębione chmury.

– To znak, że nadchodzi sztorm. Prawie czuć go w powietrzu – rzekł.

– Czy wyprowadziłeś mnie na spacer po to, by przepowiadać pogodę?

Doszli właśnie do wydm, skąd gęsta, wysoka trawa zasłaniała im widok na zajazd. Byli sami na opuszczonym brzegu. Rush odwrócił się do niej.

– Nie. Prawdę mówiąc, moje zamiary nie są za uczciwe.

Pomału, ale stanowczo zagarnął ją w ramiona. Ciemne plamki zawirowały jej przed oczami.

– Chcę cię mieć, Libby – rzekł gardłowym głosem. – Całą. Twoje ciało i duszę. Chcę cię całować...

Próbowała się bronić, lecz jego ciepłe usta już dotykały jej warg. Odruchowo owinęła ręce wokół jego karku, a jej ciało tuliło się do niego. Poczwała jego twardość wpijającą się w nią z nagłym pożądaniem.

Jego ręce przesuwwały się po jej plecach, zatrzymały się na biodrach i jeszcze ciaśniej przyciągnęły do siebie. Gdy jego język znalazł się w jej ustach, poczuła rozkoszny dreszcz. Jego wargi były delikatne i gorące. Czwała je na policzkach, włosach, szyi.

– Libby, nie mogę już dłużej czekać. Chcę cię teraz.

Zamknęły oczy, a on coraz mocniej wciskał się pomiędzy jej uda. Chciała w tej chwili, żeby jego pożądanie zniewoliło ją aż do spełnienia.

– Libby, czuję do ciebie coś więcej niż zmysłową żądzę.

– Chcę wierzyć – powiedziała szeptem. Przesuwał palce po jej policzkach.

– Musisz mi uwierzyć. Te kilka tygodni z tobą to najszczęśliwszy okres w moim życiu. Ty to sprawiłaś, Libby.

Przypomniała sobie rozmowę z Deirdre.

– Rush... – Cofnęła się lekko. – ... bardzo mi na tobie zależy. Ale...

Chciała mu powiedzieć, czego dowiedziała się od Deirdre, lecz nie wiedziała, w jaki sposób.

– Ale co? – Rush położył dłoń na jej ramieniu. – Co się stało, że przez ostatnie dni odwróciłaś się ode mnie? Proszę cię, nie odrzucaj mnie.

– Rush, ja tylko potrzebuję trochę czasu. To wszystko.

– Nie okłamuj mnie. Zniosę wszystko oprócz kłamstwa.

To zdanie bardzo ją zabolalo. I kto to mówi? Powstrzymując wybuch gniewu, zapytała cicho:

– Rush, wyjaśnij mi, dlaczego brzydzisz się kłamstwa?

Palcami przeczesywał jej włosy.

– Okłamano mnie kiedyś – rzekł w końcu – i na własnej skórze doświadczyłem skutków tego. Chcę ci o tym opowiedzieć. W ciągu ostatniego roku wiele rzeczy zrozumiałem i dlatego zanim ułożę swą przyszłość, muszę uporządkować przeszłość. – Zrównał z nią krok. – Nie przekazałem ci pełnego obrazu mojego małżeństwa. Na początku wszystko było pięknie. Laura wierzyła we mnie. To ona już w szkole dodawała mi otuchy przed trudniejszymi egzaminami, o których ja myślałem, że są nie do przebrnięcia. „Potrafisz wszystko, jeśli w siebie uwierzysz” – mawiała i ja w to wierzyłem. – Przerwał na chwilę. – Wszystko robiłem dla niej i z myślą o niej. Istniała między nami niepisana umowa: z nas dwojga ja miałem odnieść sukces. Im więcej zarabiałem pieniędzy, tym ona czuła się szczęśliwsza. Starłem się zdobyć ich coraz więcej, lecz w pewnym momencie spostrzegłem, że robię to już dla siebie. Praca znaczyła dla mnie coraz więcej, aż w końcu stała się celem samym w sobie. – Westchnął ciężko. – Po kilku latach małżeństwa całkowicie straciliśmy ze sobą kontakt. Laura z pełnej życia młodej dziewczyny, w jakiej się kiedyś kochałem, przerodziła się w dystygowaną damę na pokaz. Z początku sądziłem, że ona rzeczywiście poświęca się działalności charytatywnej, lecz to były tylko pozory. Potem chciała coraz więcej strojów, większych i droższych samochodów. Celem jej życia stało się posiadanie, kolekcjonowanie ludzi, rzeczy. Uczucie

między nami zamarło. Pozostawało jeszcze łóżko, ale bardziej z obowiązku i przyzwyczajenia, aniżeli z autentycznej potrzeby. Wmawiałem sobie, że to minie, że to jest zwykła rzecz, gdy się jest kilka lat po ślubie. – Milczał chwilę, ale podjął monolog: – Nienormalność naszego małżeństwa spostrzegłem, obserwując związki moich przyjaciół. Łączyło ich uczucie, mieli dzieci. Jak bardzo w takich momentach chciałem być ojcem! – Znowu przerwał na chwilę, by zaraz kontynuować rozpoczęty wątek: – Lekarz Laury powiedział, że nie będzie mogła mieć dzieci. Zacząłem więc myśleć o adopcji. Uważałem, że adoptowane dziecko ożywiłoby może uczucie między nami, toteż zorganizowałem wspaniały urlop na Wyspach Dziewiczych. Pierwszego dnia, wieczorem, przy świecach, z szampanem, z całą tą romantyczną oprawą wspomniałem jej o moich zamiarach. Powiedziała jedynie, że się nad tym zastanowi. Następnego dnia spotkaliśmy Theo Davenporta. Theo był dziesięć razy bogatszy ode mnie. Właściciel całej floty statków, stajni z końmi do gry w polo, odrzutowców i pól naftowych. Oczarował Laurę bogactwem i urodą.

– I to był koniec waszego małżeństwa? – spytała Libby prawie niedosłyszalnie.

– Niezupełnie – powiedział z gorzkim uśmiechem. – Kiedy wróciliśmy do domu, nie pozostało mi nic, poza robieniem

pieniędzy i powiększaniem swego hotelowego imperium. Rzadko zdarza się przedsiębiorca, którego zadowala aktualny stan posiadania. To coś takiego, jak przymusowy hazard. Jeśli połkniesz bakcyła robienia pieniędzy, nigdy nie masz ich dosyć: jeszcze jeden hotel, jeszcze jedna parcela, jeszcze jeden dom. W ten sposób przeżyłbym resztę życia, gdyby Laura nie zażądała rozwodu w jakieś sześć miesięcy po powrocie z urlopu. Miała zamiar wyjść za Theo Davenporta. Pamiętam dokładnie swoje myśli i sam się dziwiłem, że zupełnie nic nie czuję do kobiety, z którą spędziłem czternaście lat. – Zmęczonym gestem dłoni wytarł twarz. – Zapamiętałem jedynie, iż powiedziała, że miała stosunki z Theo od pierwszego dnia pobytu w Little Dix. To mną wstrząsnęło.

– Czy przyznanie się Laury do zdrady mocno cię poruszyło?

– Nie, nie byłem tak bardzo zaskoczony. Poniekąd liczyłem się z czymś takim.

Czułem tylko głęboką pustkę. Powinniśmy rozstać się wcześniej.

– I wtedy zdecydowałeś się porzucić pracę?

– Nie. To nastąpiło trochę później. Rozwiedliśmy się, a Laura poślubiła swego ukochanego następnego dnia zaraz po uzyskaniu ostatecznego wyroku o rozwodzie. Stała się jedną z najbogatszych kobiet świata. Ja natomiast postanowiłem cieszyć się wolnością.

Jeździłem z miasta do miasta. Jadłem, piłem wino i spałem z każdą kobietą, która mi się nawinęła. Pewnego dnia obudziłem się z tym samym uczuciem całkowitej pustki. Teraz nie mogłem winić za to Laury. Szukałem ucieczki w jedyny znany mi sposób – w pracy. Wiem, że to mogłoby trwać w nieskończoność, gdyby Laura nie zaszła w ciążę.

– Przecież nie mogła mieć dzieci. Widziała, jak walczył ze sobą, by powiedzieć jej upokarzającą go prawdę.

– To ona powiedziała, że nie może mieć dzieci. Przez cały czas mówiła nieprawdę – rzekł zduszonym głosem. – Byłem oszołomiony, kiedy o tym usłyszałem na jakimś przyjęciu. Któraś ze znajomych uszczęśliwiła mnie tą wiadomością o szczęśliwej rodzinie powiększonej o pierworodnego syna. Z początku pomyślałem, że to żart lub pomyłka. Ale kiedy usłyszałem o tym również od innych, musiałem uwierzyć. Pojechałem to zobaczyć...

Była ubrana w białą suknię. Jej czarne włosy opuszczone na plecy lśniły jak aksamitna wstęga. Patrząc na nią, wspominał młodą dziewczynę, w której się zakochał i w tym momencie zrozumiał, że wszystko robiła tylko z myślą o sobie: on miał być tylko wejściówką do wielkiego świata.

– Mówiłaś, że nie możesz mieć dzieci. Dlaczego kłamałaś?

Odstawiła filiżankę.

– RJ. Zrozum, ja nie chciałam dzieci, ale wiedziałam, że ty je

chcesz. Boże! Pamiętasz, ile było rozmów na ten temat! Nie chciałam z tego powodu wszczynać dodatkowych kłótni. I tak było ich za dużo. Łatwiej mi było brać pigułki, a ciebie utrzymywać w nieświadomości.

– Do jasnej cholery, Lauro! Nie mogę w to uwierzyć. Okłamywałaś mnie tak długo. Czemu raptem zmieniłaś zdanie i jesteś szczęśliwą mamusią? Dlaczego masz to dziecko?

– Bo mam je z Theo, którego kocham! – krzyknęła. Przymknęła oczy. – Przykro mi, RJ. Kiedyś cię naprawdę kochałam, ale wtedy byliśmy prawie dziećmi. Dojrzeliliśmy, zmieniliśmy się oboje. R. J., doszłam do wniosku, że jedyną rzeczą, na której ci zależało, były pieniądze. Ja byłam tylko niepotrzebnym dodatkiem.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Rzeczywiście, stracił połowę życia na gromadzeniu pieniędzy, sądząc, że w ten sposób zasłuży na jej miłość, a został bez niczego.

Zobaczył małżeństwo obdarte ze wszystkiego – puste życie dwojga obcych sobie osób, pełne kłamstw i oszustw, starannie skrywanych przed światem zewnętrznym pod płaszczykiem pozorów i udawań.

## Rozdział 10

Opowiadanie Rusha przenikało Libby do głębi. Poznała prawdziwe przyczyny jego dziwnego stosunku do świata i życia. Pragnęła objąć go i uspokoić, lecz on chciał mówić dalej, zrzucić z siebie do końca całą gorycz i ból.

– Wróciłem na Manhattan i godzinami włóczyłem się po ulicach. W końcu spostrzegłem, że robi się późno. Pamiętam jak dziś; stanąłem przed budynkiem World Trade Center i spojrzałem w górę. Przypomniałem sobie niebo mojego dzieciństwa, niebo na Przylądku Dorsza, tak intensywnie niebieskie. Niebo w Nowym Jorku nigdy takie nie jest. Nigdy...

– I od tej chwili rozpoczęła się twoja wędrówka po kraju? – spytała.

– Nie, jeszcze nie wtedy. – Zaśmiał się, kręcąc głową. – Dopiero w kilka miesięcy później, po udanych negocjacjach dużego przedsięwzięcia, kiedy z tego powodu nie odczułem żadnej satysfakcji, rzuciłem wszystko i wyjechałem. Powiedziałem Alexowi Castle, że potrzebuję trochę wolnego. Zgodził się, bo przypuszczał, że wezmę kilka tygodni urlopu, no najwyżej dwa miesiące. Kiedy mu wytłumaczyłem, o czym rozmyślam, przyznał mi rację. Alex jest przyjacielem, któremu ufam bezgranicznie.



Napięcie i ból stopniowo zniknęło z jego twarzy, wyglądał na zmęczonego. Libby patrzyła na morze i zastanawiała się nad słowami, które niedawno słyszała. „Tak, kłamstwo może złamać każde serce i zerwać każdą więź. Kłamstwo niweczy zaufanie” Ostatnie dwa lata Rush walczył o to, by swe życie odbudować na prawdzie.

Spostrzegła, że oczekuje reakcji na swoje opowiadanie. Uśmiechnęła się.

– Wiedziałam o dziecku Laury, Rush. Deirdre opowiedziała mi o tobie: o twoich przygodach, rozwodzie, dziecku. Byłam zaskoczona, bo przecież powiedziałaś mi, że Laura nie może mieć dzieci. Teraz widzę, jak bardzo się myliłam.

– Cieszę się, że cierpliwie mnie wysłuchałaś. Pogodzenie się z prawdą wcale nie jest łatwe. Przemierzyłam kraj, potrzebowałam całego roku, by oswoić się z myślą, że z Laurą nigdy nie byliśmy w stosunku do siebie szczerzy. Mieszkaliśmy w jednym mieszkaniu, ale nie łączyło nas nic.

– Podobno w małżeństwie zdarza się to często.

– Oprócz twojego.

– Tak, widocznie mieliśmy z Joem szczęście. Kochaliśmy się wzajemnie, a ból jeszcze nas do siebie zbliżył. – Potrząsnęła głową zakłopotana.

Rush spojrział na nią ciepło.

– Lubię cię, Libby.

– Ja ciebie także – odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech.

Otworzył szeroko ramiona, by chwycić ją w objęcia, gdy rozległo się wołanie Deirdre. Obrócili się w kierunku zajazdu.

– Chyba lepiej, jeśli pójdziesz, co? Zwilżyła wargi. Nie chciała iść. Chciała zostać tu, z nim.

– Libbbyyyyyy... !

Mogła nie zwracać uwagi na to wołanie, udawać, że go nie słyszy. Mogła...

– Muszę iść t – wyszeptała.

– Tak, wiem.

Wspięła się na palce, chwyciła jego głowę w dłonie, pocałowała mocno w same usta i pobiegła plażą w kierunku zajazdu. Czowała się bardzo szczęśliwa.

Następnego dnia niebo pokryły gęste chmury. Powietrze było ciężkie i parne, bez najmniejszego powiewu wiatru. Z oddali dochodziły pomruki burzy.

Deirdre, Elise i Ron odjechali dokładnie w momencie, kiedy pierwsze krople deszczu spadały na ziemię. Kiwając im na pożegnanie, Libby spoglądała na kłębiące się chmury. Niebo nabierało zielonkawego odcienia – nieomyłnej oznaki sztormu. Błyskawica rozdarła chmury i lunął deszcz.

Libby z pośpiechem zbierała poduszki z krzeseł na werandzie.

Rush wbiegł na schody.

– Libby, dasz sobie radę?

Wiatr owinał sukienkę wokół jej ciała, a deszcz przykleił włosy do twarzy.

– Tak! – odkrzyknęła. Zbiegł ze schodów.

– Rush, dokąd?! – zawołała.

– Łódka! Muszę ją zabezpieczyć przy moście.

Druga błyskawica rozdarła niebo, potem grzmot wstrząsnął ziemią. Rush wbiegł na pomost, mocno ściągnął cumę, założył dodatkową i uwiązał łódkę do polera. Teraz była bezpieczna.

Zeskoczył z pomostu i nieomal wpadł na Libby.

– Co ty tu robisz?

– Przyszłam ci pomóc.

– Już skończyłem, chodź! Chwycił ją za rękę.

Biegli razem w kierunku hangaru. Tuż przed budynkiem wziął ją na ręce. Przyłgnęła do niego przerażona wichrem i deszczem. Rush ramieniem otworzył drzwi, wszedł do środka i zatrzasnął je za sobą. Błyskawica rozświetliła niebo i niemal natychmiast huk grzmotu wstrząsnął hangarem. Libby niemal instynktownie schowała głowę w jego ramiona.

– To uderzenie pioruna – rzekł Rush, stawiając ją na podłodze.

– Poczekaj, sprawdzę, czy coś się nie stało...

– Nie! – Trzymała się go kurczowo. – Nie idź!

– Libby, jeśli piorun uderzył w zajazd, może być pożar. Muszę to sprawdzić... zaraz wracam – rzekł i zanim zdążyła zaprotestować, był już za drzwiami.

Libby podeszła do okna, patrząc, jak biegł smagany deszczem. Kiedy zniknął z pola widzenia, odwróciła się i zaczęła chodzić po pokoju.

Była zupełnie mokra. Rozglądała się za ręcznikiem, kiedy wzrok jej padł na łóżko, na którym widniało wyraźne wgłębienie pozostawione przez jego ciało. Po chwili on sam wpadł do środka, ociekając wodą.

Odwróciła się z bijącym sercem. Deszcz uwydatniał wszystkie atrybuty męskości. Podkoszulek przylegał mu do piersi i ramion. Spodnie przykleiły się do nóg, podkreślając kształt łydek i ud. Palcami odgarnął opadające włosy.

Libby stała bez ruchu, wpatrując się w niego.

– Piorun uderzył w klon, ten na środku trawnika. Odłamał konar, ale nie martw się, uratuję drzewo.

Przyglądała się, jak podszedł do kominka, przykucnął i zaczął układać drewno na palenisku.

– Zimno tu – powiedziała.

Zwinął gazetę, położył pod polana i przytknął do papieru zapaloną zapałkę. Ogień ogarnął drewno. Jeszcze przez moment patrzył w płomienie, po czym wstał i odwrócił się do niej.

Deszcz ciągle jeszcze dudnił po dachu i szybach. Wiatr huczał, ale ona tego nie słyszała. Czuła jedynie zniewalające ciepło, jakie biło od ognia i tego mężczyzny.

Nie spuszczała z niego wzroku, kiedy zbliżał się do niej. Widziała siateczkę zmarszczek wybiegającą z kącików oczu, krople deszczu na rzęsach i małą bliznę nad prawą brwią.

Był już tak blisko, że czuła jego zapach. Pachniał deszczem, morzem i ogniem, wreszcie tym ledwie wyczuwalnym, niezwykłym zapachem mężczyzny. Potem poczuła na twarzy delikatny dotyk jego rąk. Palce pocierały policzek, przesunęły się na pełną miękkość jej dolnej wargi, powędrowały niżej na brodę i podbródek, by zatrzymać się we wgłębieniu u nasady szyi.

Odchyliła do tyłu głowę, kiedy mocniej przyciągnął ją do siebie.

– Libby.

Jego głos zapraszał jak pieszczota. Powoli pochylił się i zbliżył usta do jej twarzy, zbierając wargami z policzków krople deszczu. Potem jego wargi wędrowały do brwi, nasady nosa, potem przez rzęsy z powrotem na policzki i kark.

Zrobiło się jej słabo. Słyszała mocne i rytmiczne uderzenia jego serca. Wargi znowu rozpoczęły magiczną wędrówkę. Dotarły do jej ust i przywarły do nich na moment. Jęcząc cichutko, wygięła się do tyłu, kiedy wyczuła jego niecierpliwe ręce szukające jej

piersi. Czowała rosnącą rozkosz, gdy palcami pieścił sutki skryte jeszcze pod materiałem.

Szybko zdjął jej suknię i rozpiął stanik. Opadł ustami na nagie piersi. Język tańczył wokół nabrzmiąłych sutek, sprawiając, że zapomniała o całym świecie. Jej ręce pieściły jego plecy, w pośpiechu ściągając z nich mokry podkoszulek.

Zamarła na moment, kiedy poczuła, że jego ręka zahaczyła o gumę majteczek i pomału ściągnęła je w dół. Naga przylgnęła do niego całym ciałem, czując wszędzie jego dłonie. Jego palce sunące w górę po udzie natrafiły w końcu na gorącą, wilgotną obrzmiałość, przyprawiając Libby o dreszcz rozkoszy. Nie chciała już dłużej czekać, była gotowa na przyjęcie go i wkrótce dwa jęki miłosnego upojenia zlały się w jeden, a świat zapadł się w niebyt.

Sztorm minął, a oni leżeli spleceni w miłosnym uścisku.

– Najdroższa – wyszeptał. – Jesteś bezcenna...

Podniosła ręce, objęła jego twarz i wyszeptała:

– Jakże byłam głupia, żądając czasu na lepsze poznanie się!

Odsunął się odrobinę i położył na boku.

– Chciałaś w ten sposób zabezpieczyć się przed cierpieniem – powiedział cicho. – To nic, że prawie się nie znamy. – Pochylił się i pocałował ją delikatnie. – Mamy tyle] czasu, tyle czasu...

Obudził ją hałas wody spływającej rynnami z dachu. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, ale leżący obok Rtish

przypomniawszy jej szaleństwa ubiegłej nocy. Na nowo poczuła ciepło rozchodzące się po całym ciele.

Mężczyzna leżał obok, spokojny i zatopiony w myślach. Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz, gdy uświadomił sobie, że Libby go obserwuje.

– Obudziłaś się – powiedział, otaczając ją ramieniem.

– Nie powinieneś pozwolić mi spać – rzekła i zarzuciła mu ręce na szyję.

Podniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

– Jesteś taka piękna, gdy śpisz – powiedział. – A ja musiałem trochę pomyśleć...

Wątpliwości i zmieszanie, jakie poczuła, musiały odbić się w jej oczach, bo objął ją czule ramionami.

– Myślałem o nas, Libby – powiedział. – Jestem taki szczęśliwy, że chcę dzielić z tobą dni i noce. Zgodziłem się pozostać tu do Dnia Pracy i umowy dotrzymam.

– Rush! – Zawołała. – To najlepsza wiadomość pod słońcem!

– Tylko jedną rzecz chciałbym zmienić – rzekł, bawiąc się jej włosami. – Nie chcę więcej spać sam. Czy można coś zrobić w tym względzie?

Wypełniła ją radość.

– Myślę, że można – rzekła. – Jestem prawie pewna, że można...

## Rozdział 11

– Jak ty to robisz? – spytał Rush, stojąc obok niej w kuchni.

Jedną ręką wbijała do miski jajka, przygotowując omlet.

– Jak robię omlet? – spytała, pokazując zęby w uśmiechu. – To proste. Rozbijasz jajka i...

– Nie – powiedział. – Chodzi mi o to, jak jedną ręką rozbijasz jajka.

– O, tak, widzisz? Spróbuj! – Libby zręcznie zademonstrowała.

– Nie dam rady. – Rush obracał jajko w rękę i kiwnął głową.

– To proste. Uderz lekko jajko o brzeg miski i wlej do środka żółtko oraz białko.

Rush uderzył – skorupka pękła na równe niemal części. Ścisnął je tak mocno, że cała zawartość wraz ze skorupką znalazła się w misce.

– Potrzebujesz wielu ćwiczeń – zaśmiała się głośno.

Wzięła następne jajko i podała mu. Tym razem udało się, ale użył obu rąk do tego, by zawartość skorupki wlać do miski.

– Zrobię to, jak nie będziesz widziała. Wybrała resztki skorupki z miski.

– Nie zależy mi na tym, byś jedną ręką tłukł jajka.

Rush roześmiał się i rozłożył talerze w jadalni.

– Ale ja chcę ci pomagać.



– Przecież mi pomagasz i to bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Była połowa lipca i sezon wakacyjny w pełni. Zajazd był zajęty do ostatniego miejsca. Mimo nawału pracy znajdowali czas, by spotykać się co wieczór. Utartym zwyczajem spacerowali plażą, kończąc przechadzki w hangarze, gdzie kochali się namiętnie.

– Masz dziwną moc przywracania sił – powtarzała Libby, kiedy niósł ją do łóżka.

– W twojej obecności natychmiast mi ich przybywa.

Czasami Libby gościła go u siebie.

Którejś nocy nie wyszedł z jej sypialni. Zasnęli i obudzili się razem dopiero następnego dnia rano. Leżeli w wielkim łóżu, spoglądając na siebie.

– Tak powinno być każdego ranka – powiedział.

Skinęła głową i wtuliła się w niego.

– Dlaczego więc nie przyniesiesz tutaj swych rzeczy?

– Zgadzasz się? – spytał z niedowierzaniem.

– Marzyłam o tym każdego ranka, odkąd cię poznałam.

– Tylko jeden warunek – zamruczał jej w ucho.

– To znaczy? – spytała cicho, czując dreszczyk pojawiający się zawsze przed każdym miłosnym aktem.

– Pobudka o piątej. W ten sposób będziemy mieli więcej czasu dla siebie.

– No właśnie, dzisiaj już jesteśmy spóźnieni. – Popatrzył na zegarek.

Przyciągnęła go do siebie.

– Jestem właścicielką zajazdu, co wcale nie znaczy, że muszę być jego niewolnicą.

Przewróciła go na plecy, siadając na nim okrakiem i pozwalając, by jej włosy utworzyły nad jego głową rodzaj baldachimu.

– Dzisiaj – powiedziała uwodzicielskim tonem – goście zjedzą na śniadanie owsiankę, czy to lubią, czy nie.

– A my – spytał – z czego będziemy żyli?

Jej usta błędziły po jego twarzy, ramionach, piersi.

– My? – spytała. – My będziemy żyć z miłości!

Pod koniec lipca Libby mogła sobie pozwolić na zaangażowanie kobiety, która zastępowała ją w niedzielę.

Właśnie którejs z nich obudziło ją skrzypienie otwieranych drzwi. Zobaczyła w nich Rusha ubranego już w białe spodnie i białą koszulę. Z tacą w ręku wchodził do sypialni.

– Śniadanie do łóżka dla uczczenia pierwszej wolnej niedzieli!

Patrzyła, jak stawia tacę na kolanach. Zdjął pokrywkę z półmiska; w powietrze uniósł się zapach gorącej jajecznicy na boczku. Obok leżały dwa tosty, kosteczka masła i miseczka dżemu z czarnych jagód.

– O, Rush! To najmiłsza niespodzianka, jaką mogłeś mi sprawić.

Od razu zabrała się do jedzenia. Cieszył się, że wszystko jej smakuje.

– Dziękuję, było wspaniale. Jestem teraz bardzo szczęśliwa!

– Ja też. Chciałbym, by lato nigdy się nie skończyło.

– Lato się kończy, co wcale nie musi znaczyć, że nasza miłość również.

– Wiem.

Podszedł do drzwi balkonowych i otworzył je na oścież. W oddali intensywnie niebieskie wody zatoki wyglądały jak barwione płótno.

– W tych dniach muszę podjąć decyzję odnośnie mojej przyszłości. Ale w tej chwili nie chcę nawet o tym myśleć.

Przytaknęła. To była jedyna sprawa, która zatruwała radość ostatnich dni. Co się stanie, jeśli on odejdzie?

Następnego dnia zadzwonił telefon. Libby podniosła słuchawkę.

– Libby? Tu Alex. Czy jest w pobliżu Rush? – spytał.

Nie lubiła tych telefonów. Za każdym razem bała się, że Alex zażąda powrotu Rusha do Nowego Jorku.

– Nie ma go. Wyjechał do miasta po zakupy. Ma zadzwonić do ciebie, czy zostawisz mu jakąś wiadomość?

Alex westchnął zrezygnowany.

– Powiedz, że dzwoniłem. Jesteś mi pilnie potrzebny.

– Coś nie w porządku? – spytała zaniepokojona, owijając kabel wokół palca.

– Nie – zapewnił. – Chciałem tylko prosić o radę.

– Powtórzę mu. – Westchnęła z ulgą.

Tego wieczora Rush siedział w kuchni nad gazetą.

– Cześć. – Podeszła i ucałowała go lekko. – Dostałeś wszystko? Objął ją i przyciągnął do siebie.

– Tak. Ale pozwól, że najpierw pokażę ci, jak wygląda pocałunek – rzekł, sadzając ją sobie na kolana i całując namiętnie jej usta i oczy.

– Rush, co ja zrobię bez ciebie?

– A kto mówi coś takiego? – spytał.

– No, myślałam... że spakujesz się pewnego dnia i odejdziesz.

Dopiero po chwili spytał:

– A gdybym się tak spakował i ruszył, czy ty zrobiłabyś to samo?

– Nie, Rush. Całe moje życie jest tu, w tym zajeździe. – Spojrzała mu głęboko w oczy.

– I nie potrafiłabyś go zostawić nawet dla mnie?

– A chciałabyś tego? – spytała spokojnie. – Co bym robiła po przeprowadzce do Nowego Jorku? Pracowała w barze? A może

sądysz, że potrafiłabym, jak Laura, cały dzień robić zakupy, a wieczorami chodzić na przyjęcia? Potrząsnął głową.

– Powiem ci coś: na razie jeszcze pozostawmy sprawy swemu biegowi.

– Pamiętaj tylko, że wszystko zależy od nas – rzekła. Podeszła do lodówki i wyjęła paczkę poćwiartowanego kurczaka. – Alex dzwonił – dokończyła.

– Jakież problemy?

– Nie. Powiedział tylko, że chce twojej rady.

Pochyliła głowę i zajęła się przygotowywaniem potrawy. Rush obserwował ją przez chwilę, potem wstał od stołu i zatrzymał się obok niej.

– Libby, powiedz, co jest? – spytał. Uśmiechnęła się z przymusem.

– Zaczynam nienawidzić telefonów Alexa. Boję się, że któregoś dnia wezwie cię, a ty odejdiesz.

Pogłaskał jej włosy i popatrzył jej w oczy.

– Czy sądzisz, że zrezygnuję z tego, czego przez całe życie szukałem, a co teraz znalazłem?

Zamknęła oczy z twarzą na jego ciepłej piersi. Modliła się o to, by miał rację. Straciła Joeego i długo nie mogła się z tym pogodzić. Straty Rusha już by chyba nie zniosła.

Kiedy patrzyła w przyszłość, widziała tylko cienie.

Tego wieczoru usiadła na brzegu łóżka i przyglądała się opakowaniu pigułek antykoncepcyjnych. Zaczęła je brać regularnie po pierwszej nocy spędzonej wspólnie w hangarze. Teraz należały już do wieczornego rytuału, ale dzisiaj niechętnie po nie sięgała.

– Nie sprawia ci to przyjemności? – spytał, siadając obok niej.

Potrząsnęła głową. Na początku odczuwała uboczne działanie, ale teraz tego już nawet nie zauważała.

– Nie, to nie to – rzekła ze spuszczoną głową.

– Libby, ja cię rozumiem – powiedział miękko. – Gdybyśmy byli małżeństwem, nie musiałabyś brać tego świństwa, zwłaszcza, że oboje pragniemy mieć dzieci. Pigułka jest zaprzeczeniem tych chęci, nieprawdaż? – Zgadza się. – Skinęła głową. – Mam już trzydzieści trzy lata. Zegar biologiczny kobiety dokładnie wyznacza granice jej rodzicielskiej możliwości. Kiedy przekroczyłam trzydziestkę, nagle obudziły się we mnie instynkty macierzyńskie. Objął ją ramieniem.

– To cztery pałętające się pod ręką kocięta już nie wystarczają?

– Nie – odpowiedziała śmiejąc się.

Na widok tych kotów odczuwam zazdrość. Też bym chciała mieć czwórkę.

– Nic straconego, wszystko przed nami. Chyba się nie przesłyszała. Naprawdę powiedział: nami?!

– Co nowego w prasie? – spytała Libby.

Był koniec upalnego sierpnia. Wilgotne i lepkie powietrze orzeźwiała czasami bryza morską.

Libby i Rush siedzieli na werandzie.

– Organizuje się w tym rejonie komitet planowania przestrzennego – rzekł Rush. – Poszukują członków.

– Ach, tak. – Libby spojrzała mu przez ramię i czytała razem z nim: – „Zadaniem komitetu będzie zbadanie potrzeb Przylądka, ze szczególnym uwzględnieniem jego zagospodarowania” To brzmi interesująco.

– Gdybym nie miał firmy na głowie, to zajęcie bardzo by mi odpowiadało.

Serce podskoczyło Libby do gardła. Zbladła. Rush zauważył to i położył ręce na jej ramionach, chcąc ją uspokoić.

– Ja chcę tu zostać, Libby. Od wielu dni szukam sposobu, jak to zrobić. Alex ciągnie całą robotę bez jednego dnia urlopu. Dłużej nie da rady. Muszę wrócić.

Podniosła się.

– Mam jeszcze rachunki do zrobienia. Może później popływamy?

Skinął głową. Słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi. „Kąpiel przy księżycu – pomyślał. – Tego jeszcze nie próbowałem!! Zdawał sobie sprawę, że wkrótce musi podjąć

decyzję. Za dwa tygodnie kończy się ich umowa: pierwszy weekend po Dniu Pracy. Na myśl o opuszczeniu Przylądka i Libby czuł ból. Z drugiej strony nie ucieknie swemu przeznaczeniu. Alex pracował już bardzo długo i od dawna należy mu się urlop. Nie miał nikogo innego, kto wziąłby na siebie odpowiedzialność za firmę.

Czy mógł wrócić do Nowego Jorku, zostawić Libby i zajazd?

Stał, patrząc w wodę, w której zanurzało się słońce. Jedna po drugiej zaczęły ukazywać się gwiazdy, jak światła zapalane przez niewidzialnego gospodarza.

Wrócił do gospody, kiedy było już zupełnie ciemno. Ale wiedział, co ma zrobić. Był tylko jeden sposób, by połączyć ich losy, i on go znalazł.



## Rozdział 12

Rush krytycznym wzrokiem przyglądał się jadalni. Czy wszystko było w należyтым porządku?

Stół był nakryty najlepszym obrusem Libby, na nim stał serwis z chińskiej porcelany. Rush naciął róż i wstawił do wazonów, z tym że stały krzywo i niezdarnie; piękne, ale nie robiły odpowiedniego wrażenia.

No, tak! Zapomniał nalać wody do wazonów, dlatego zaczynały więdnąć. Szybko naprawił błąd z nadzieją, że kwiaty odżyją. Spojrzał na zegarek. Libby powinna zaraz przyjść. Był ciekaw, jak zareaguje na przygotowaną dla nich kolację.

Zaśmiał się sam do siebie. Od lat nie gotował, lecz potrawa z ryby należała do jego popisowych. Z odrobiną cytryny i z pietruszką dekoracyjnie ułożoną na talerzu, zieloną fasolką świeżo zebraną w ogrodzie, zieloną sałatą i białym winem powinna być wyśmienitym daniem.

Gdy wrócił do kuchni, zastał Buttermilk i jej potomstwo oczekujące kolacji.

– W porządku, dzieci – powiedział kociej rodzinie. – Na co macie ochotę dzisiejszego wieczora? Tuńczyk czy whiskas? – Buttermilk wraz z kociętami łąsiła się u jego stóp. – Tuńczyk – zdecydował Rush i wyłożył zawartość puszki na dwie miseczki.

Drzwi otworzyły się i do kuchni weszła Libby.

– Wszyscy wyszli na cały wieczór – rzekła, idąc do lodówki. – Chcę tylko czegoś zimnego do picia.

– Pozwól, że ci coś zaproponuję – powiedział pośpiesznie i spojrzał na nią. – Przygotowuję coś specjalnego i to ma być niespodzianka.

– Jest już gotowe? – Pociągnęła nosem.

– Nie, dopiero kilka minut temu wstawiłem do piekarnika. Możesz wziąć prysznic, a ja w tym czasie przygotuję ci drinka.

Kiedy wyszła, nastawił fasolkę, by pogotowała się chwilę. Tuż przed wejściem Libby chciał zapalić świece i puścić jakąś płytę. Otworzył okno, wychylił się i jeszcze raz odetchnął aromatycznym powietrzem. Nagle poczuł dość dziwny zapach. Może lepiej sprawdzić tę rybę?

W samą porę wszedł do jadalni, bowiem dwoje kociąt baraszkowało na stole.

– Zjeżdżać mi stąd! – krzyknął. Kotki popatrzyły na niego niewinnymi oczami i ani myślały słuchać. Jeden ułożył się na grzbiecie, przewracając łapą kieliszek do wina.

– Posłuchajcie, kociaki, zedrę z was skórę, jeśli któryś wlezie tu jeszcze raz.

Dopiero teraz, leniwie, kocięta wskoczyły na krzesła i schowane za zwisającym obrusem obserwowały go z ciekawością.

Wrócił do kuchni. Od strony pieca dochodziło podejrzanе skwierczenie. Podeszedł i zobaczył popalony garnek. No tak: woda całkowicie się wygotowała, a z garnka bucha dym. „Co tu zrobić” – myślał. Chwycił garnek i podstawił pod kran. Kłęb pary z sykiem uniósł się pod sufit. Spojrzał do środka – fasola z zielonej zrobiła się brunatna. Rozejrzał się bezradnie.

Libby weszła do kuchni.

– Co się stało?

– Co? Nic – odpowiedział, chowając garnek za siebie. – Nic takiego. – Uśmiechnął się do niej.

– Czy to nadaje się do jedzenia?

– A dlaczego nie? – Wrzucił fasolę ponownie do garnka i dolał wody. – Trochę się podgrzeje i już będzie dobra.

Libby spojrzała na piec.

– Nastaw na minimum – powiedziała.

– A teraz zrobię nam drinki. Postanowiłem, że dziś wieczór powinnaś mieć wolne.

– To mi odpowiada. Co świętujemy?

– Zobaczysz – rzekł. – To niespodzianka. – Podał jej szklanę, wziął do ręki swoją. – Za nas!

– Za nas! – powtórzyła. Upił trochę i objął ją ramieniem.

– Pachniesz cudownie – rzekł, całując jej kark.

– Ja zaś czuję zapach palonej ryby – rzekła, marszcząc nos.

Rush zeszywniał.

– Sądysz, że ma dość?

– Kiedy ją wstawiłeś i na jaką temperaturę?

– Nie przejmuj się rybą. – Poprowadził ją do jadalni. – Usiądź tu spokojnie i dokończ drinka.

– Rush, jak tu pięknie! – zawołała i rozejrzała się dookoła.

Uśmiechnął się i chciał podsunąć jej krzesło, ale zauważył, że nie zapalił świec. Zaczął szukać zapalek po kieszeniach.

Tymczasem dziewczyna przysunęła sobie krzesło i z oczami utkwionymi w Rusha już miała usiąść, gdy wtem mała, futrzana, bura kuleczka z piskiem mrozącym krew w żyłach zerwała się z siedzenia '

Libby poderwała się przestraszona.

– Diabli cię tutaj nadali, Fluffy! – krzyknął Rush. – Jak tu wlałeś?

– To jest Muffy. – Libby już ochłonęła.

– Muffy, Fluffy! Nigdy nie potrafię ich rozróżnić!

– Nic prostszego – zaczęła tłumaczyć Libby. – Muffy ma żółte ucho, Fluffy jest najtłustszy. Sparkle ma jedno oko zielone, a jedno niebieskie. Wreszcie Moe jest najmniejszy.

Rush zdążył ochłonąć i z powrotem wysunął jej krzesło.

– Pani! – Ukłonił się. – Krzesło.

Siadła z gracją i obserwowała, jak otwiera butelkę z winem.

Wyciągnął korek, wlał trochę do kieliszków i posmakował.

– Doskonale!

– Za szefa! – Podniosła swój.

To przypomniało mu o obowiązkach.

– Sprawdzę, co z tym jedzeniem – rzekł i spojrzął na zegarek. – Powinno być gotowe.

W kuchni wylał fasolę na półmisek, ale nie wiedział, jak się pozbyć wody. Próbował zlać ją do zlewu, ale fasola uciekała wraz z nią. Próbował zatrzymać ją palcami, ale skończyło się na poparzeniu.

– Wszystko w porządku, Rush?! – zawołała z jadalni Libby.

– Tak, tak, zaraz będę gotowy. Jeszcze chwilę! – odkrzyknął.

Dał sobie spokój z tą przeklętą fasolę. Oplukał palce zimną wodą, wytarł ręcznikiem. Wyłączył piec i otworzył drzwiczki. Uśmiech zginął zupełnie z jego twarzy: na blaszce pozostały jedynie dwa małe, brązowe kawałeczki czegoś, co trudno było nazwać rybą. Zrozpaczony, że jego plan doskonałej kolacji wziął w łeb, wyjął z pieca brytfankę i spróbował widelcem. Ryba nie była spalona, ale wysuszona na wiór.

Zrezygnowany położył ją na półmisku. Wniósł tackę do jadalni z przepaszającym uśmiechem.

– Zdaje się, że ją trochę przypiekłem.

– Tak, tak sędzę, ale najważniejsza jest intencja – odrzekła

Libby, patrząc na niego z czułością.

Rush nałożył jej kawałek i chciał to samo zrobić z fasolką, ale ginęła pod wodą.

– Nie udało mi się jej odlać, przepraszam.

W oczach Libby zatańczyły wesołe iskierki.

– Tak to jest, jeśli nie użyje się cedzaka – rzekła niewinnie.

– Cedzak! – Rush gwałtownie odsunął krzesło. Ten ruch zbudził Moe. Przerażony kot usiłował uciekać najbliższą drogą przez stół.

– Muffy! – wrzasnął Rush.

– Moe – poprawiła go ze śmiechem Libby, obserwując jak kociak błyskawicznie przeciska się między butelką z winem a wysokim kieliszkiem, zatrzymując się dopiero na drugim skraju stołu.

Muffy i Sparkle siedziały na podłodze i z zainteresowaniem śledziły, co się dzieje. Zachowanie swego brata potraktowały jako zaproszenie do zabawy, toteż wskoczyły na krzesło, a potem na stół. Czwarty, ten najtłustszy, też chciał włączyć się do igraszek. Próbował wskoczyć na stół bezpośrednio z podłogi. Nie udało się! Zatem przednie łapki wbił w obrus i zawisł w powietrzu. Rush widział, jak całe nakrycie przesuwa się po stole.

Jeden kieliszek spadł na podłogę, natomiast drugi Rush zdążył złapać w powietrzu. Wazon wywrócił się i woda rozlała się po

całym stole. Koty przestraszone czmychnęły do kuchni.

Libby padła na krzesło, zanosząc się śmiechem.

– Wszystko zrujnowane. – Rush popatrzył na stół.

Podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

– Kocham cię – szepnęła. Przycisnął ją do siebie i śmiejąc całował jej włosy.

– Libby, to miała być specjalna kolacja. Wszystko obmyśliłem.

– Takiego posiłku w życiu nie przeżyłam. Dzięki za udany wieczór.

Wodził czule palcem po jej policzku.

– Ja również cię kocham, Libby. Dzisiejszego wieczora chciałem poprosić cię o rękę. Czy mogę to jeszcze zrobić, mimo tego bałaganu?

– O, Rush... – Padła w jego ramiona przepelniona radością.

– Zgadzasz się?

– Więc zdecydowałaś się pozostać? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Nie wiem jeszcze, Libby. To znaczy, że wspólnie będziemy musieli podjąć decyzję. – Podniósł jej rękę do ust i spytał: – Czy twoja odpowiedź brzmi: tak?

Zawahała się na moment.

– Moja odpowiedź brzmi: kocham cię i chcę cię poślubić, ale

nie mogę tego zrobić, dopóki się nie przekonam, jak będzie wyglądała nasza przyszłość. Nie chcę opuścić Przylądka ani zajazdu. Ty z kolei nie możesz prowadzić swojej firmy w Nowym Jorku i jednocześnie być tu ze mną, co jest bardzo ważne dla mnie. Chcę cię mieć przy sobie, lecz nie w weekendy, bo ty pięć dni w tygodniu będziesz przebywał w Nowym Jorku. Ja nie chcę dochodzącego męża.

– Libby, pragnę dokładnie tego samego! – Uśmiechnął się i objął ją w pól. – Zrozumiałem to w ciągu ostatniego roku.

W trzy dni później zadzwonił telefon. Znowu Alex. Wyczuła podniecenie w jego głosie, kiedy poprosił, by zawołała Rusha.

– Nie ma go w pobliżu, ale poczekaj, zaraz go zawołam. – Odłożyła na bok słuchawkę i pobiegła po niego. Zmieniał właśnie szyld.

– Dzwoni Alex. To pilne. Czeka na ciebie przy aparacie.

Rush zostawił swoją pracę i poszedł za Libby. Potem podniósł słuchawkę i zawołał:

– Cześć, Alex! Co się dzieje? Uśmiechnął się do niej. W miarę trwania rozmowy twarz mu poważniała. W końcu zmarszczył czoło i odwrócił się.

– Rozumiem. Oczywiście masz rację. Dobrze, że dzwonisz. Najlepiej będzie, jak weźmiesz samolot firmy i przylecisz na Przylądek. Pokój czeka na ciebie. Do zobaczenia. Odwiesił



słuchawkę i zwrócił się do Libby.

– Alex będzie tu jutro rano – powiedział. – Znajdziesz dla niego jakiś pokój?

– Wszystko mamy wynajęte. Przecież to weekend po Dniu Pracy. Ale... możemy go umieścić w hangarze.

– Wspaniały pomysł!

– Czy coś się stało? – spytała z troską w głosie.

– Alexowi zaproponowano na Przylądku dużą parcelę, sto sześćdziesiąt sześć akrów, przylegającą tuż do wody. Zaraz obok jest też druga parcela, dwieście akrów. Można je obie kupić.

– Co chcielibyście zrobić z tymi działkami?

– Zbudować na nich hotel, bo taka jest nasza branża. A teraz pójdę uporządkować hangar dla Alexa.

– Rush.. ! – zawołała za nim, gdy był już w drzwiach.

Obrócił się.

– Wiem, że coś jest nie tak, jak trzeba. Jeśli będziesz chciał ze mną pogadać, to jestem tutaj.

Uśmiechnął się ciepło i wybiegł, zostawiając ją samą...

## Rozdział 13

Wygląd Alexa Castle zgadzał się dokładnie z opisem Deirdre: ciemnowłosy, wysoki i bardzo atrakcyjny. Nosił doskonały garnitur, nienagannie białą koszulę, buty na wysoki połysk. Kiedy ujął rękę Libby, poczuła bijące od niego ciepło. Był typem człowieka budzącym zaufanie.

– Rush dużo mi o tobie opowiadał – rzekł do niej. – Teraz widzę, że w niczym nie przesadził.

Roześmiała się i poprowadziła go do hangaru.

– Bardzo mi przykro, ale wszystkie pokoje mamy zajęte i muszę umieścić cię tutaj. Początkowo Rush zajmował to pomieszczenie i nie narzekał – powiedziała, czując gorący rumieniec na policzkach. Spojrzała na Rusha, próbując zgadnąć, ile opowiedział o tym, co ich łączy.

Kiedy Alex ruszył przodem w kierunku hangaru, spytała:

– Co on wie o nas?

– Tylko tyle, że śpimy razem. Bardzo się ucieszył.

– Nie mów mu już ani słowa więcej – udawała obrażoną.

Bez słowa chwycił ją w objęcia i pocałował.

Odsunęli się od siebie, gdy spostrzegli, że Alex stoi przed hangarem i patrzy dyskretnie w ich kierunku. Libby z wypiekami na twarzy podbiegła do niego.

– Pozwól, że ci pokażę to pomieszczenie – mówiła zakłopotana.

– Przede mną nie musisz czuć się skępowana. Jesteś najpiękniejszym darem, jaki Rush mógł otrzymać od życia. Masz moje szczere błogosławieństwo.

Była mu wdzięczna za te słowa przyjaźni.

– Dziękuję ci. Bardzo mi na nim zależy...

Rush dołączył do nich i razem weszli do środka. Libby pootwierała okiennice i spojrzała na zatokę. Łódka kołysała się spokojnie na wodzie. Leniwe fale oblizywały jej białe burty. W górze niebo było ciemnobłękitne, z kłębiącymi się aż po horyzont chmurami.

W ciągu trzech miesięcy jej życie zmieniło się całkowicie. Była szczęśliwa, lecz wciąż niepewna swego szczęścia. Obawiała się, czy uda im się osiągnąć kompromis stanowiący początek ich wspólnego życia. Kochała Rusha i dlatego zastanawiała się też nad przeprowadzką do Nowego Jorku. Miłość wymaga poświęceń, tylko czy ona jest do nich zdolna? Patrząc na bezmiar spokoju oceanu, poczuła, jak ściska się jej serce.

Przylądek i zajazd „Pod Krzakiem Róży” były najważniejszymi, integralnymi elementami jej życia. Ale co się stanie, jeśli Rush odejdzie? Czy niebieskie wody i ciche plaże ukoją jej samotność i smutek?

Westchnęła głęboko i przypomniała sobie, jak czuła się po śmierci Joeego. Na początku był ból, rezygnacja i poddanie się losowi, ale krok po kroku praca w zajeździe przywracała ją do życia.

– Libby?

Odwróciła się z wymuszonym uśmiechem: był tu i teraz. Powinna cieszyć się każdą chwilą jego obecności, a nie wędrować myślami w niewesołe rejony...

– Jedziemy z Alexem obejrzeć te parcele. – Chciałbym, abyś pojechała z nami. Proszę cię.

Skoro nalegał, nie mogła mu odmówić.

– Dobrze. Powiem tylko Klarze, żeby odbierała telefony. Za kilka minut będę gotowa.

Wbiegła do domu ogromnie podniecona. Fakt, że Rush chce ją mieć przy sobie, znaczy coś ważnego. Stanowi krok wprowadzający ją w jego życie.

– Klara?! – krzyknęła. – Klaro, przypilnuj tu... Ja muszę wyjść...

Cały teren pokrywały wydmy porośnięte ostrą, wysoką trawą. Za nimi był już tylko ocean – teraz wzburzony niewielkimi falami, których białe, niesforne grzywy miękko biły o brzeg.

Libby stała zwrócona w kierunku wody, pozwalając, by wiatr targał jej długie włosy. Rush i Alex szli brzegiem morza pogrążeni

w rozmowie. Kiedy się zbliżyli, usłyszała.

– To okazja i nie można jej zaprzepaścić, R. J. Jeżeli my nie kupimy, skorzysta na tym ktoś inny. Ceny ziemi na Przylądku w ciągu ostatnich pięciu lat wzrosły niebezpiecznie. Taki teren, jak ten, to już rzadkość. Kosztuje fortunę, fakt, ale jest tego wart. Popatrz: dobry dojazd, dość miejsca na pole golfowe, nawet na kilka kortów tenisowych.

Rush popatrzał na Libby.

– Potrzebuję odrobinę czasu do namysłu. Dasz mi parę minut, chcę porozmawiać z Libby.

– Oczywiście. Poczekam na was przy samochodzie.

Rush podszedł do Libby i wziął ją za rękę.

– Chodź, przejdziemy się trochę i pogadamy. – Szła obok, czekając, co ma jej do powiedzenia. Weszli na szczyt jednej z wydm. Przed nimi rozciągał się niezmierny ocean. Na horyzoncie płynął statek, zostawiając za sobą nikłą smużkę dymu. Łodzie i żagłówki wyglądały w oddali jak niewielkie punkciki. Niedaleko bawiło się w piasku dwoje dzieci.

– Jako dorastający chłopak przychodziłem tu z ojcem – powiedział Rush.

– Tutaj? – Spojrzała na niego zaskoczona.

Skinął głową i popatrzył na śmiejące się dzieci.

– Czasem łowiliśmy ryby. Kiedy się zmęczyłem, brałem

wiaderko i szedłem na poszukiwanie owoców morza. Zbierałem je do wiaderka tak, jak te dzieci, potem przynosiłem ojcu, a on mi o nich opowiadał. Dużo się od niego nauczyłem o Przylądku, plaży, muszlach...

Zamilkł na chwilę. Dziewczyna stała bez słowa, gotowa mu przyjść z pomocą, ale wiedziała, że podjęcie decyzji należy do niego.

– Pamiętasz ten wieczór, kiedy zaszedłem do zajazdu? – spytał niespodziewanie. – Rozmawialiśmy o zmianach na Przylądku. Zapamiętałem wówczas twoje słowa, prezentujące twój stosunek do tych spraw. Libby, mam ogromny dylemat; jeśli kupię ten teren, zniszczę coś, co mi jest bardzo drogie. Z kolei, gdy ktoś inny zainteresuje się nim... to nie będzie o niego dbał tak, jak ty.

– Dla niego będzie to po prostu następny kawałek ziemi pod zabudowę... – wpadła mu w słowo.

– Jednym z powodów, dla których nie mogłem zdecydować o swojej przyszłości, jest niemożność spędzenia reszty życia w zajeździe.

Poczuła straszny ucisk w sercu: bała się każdego następnego słowa, jednocześnie czekała na nie niecierpliwie.

– Co masz na myśli, Rush?

– Owszem, mam w sobie jeszcze sporo energii, by przekształcić się we właściciela zajazdu i wygodnie żyć do

starości.

Patrzyła na niego prawie nieprzytomna ze strachu, przewidując, co powie.

– Ale... ?

– Libby, ja cię naprawdę kocham i chcę resztę swego życia spędzić z tobą.

Widziała ból na jego twarzy. Był rozdarty pomiędzy potrzebą samorealizacji w działaniu na dużą skalę a stabilnym życiem w wiejskim zajeździe.

– Ja... – Spojrzała mu prosto w oczy. – Kocham cię bardzo. Kiedy umarł Joe, wydawało mi się, że już nigdy, żaden mężczyzna... Pojawiłeś się ty. Ożyłam na nowo. Wróciły uczucia... – Brakło jej słów. – W każdym momencie, kiedy na ciebie patrzyłam, nie posądzałam samej siebie, że mogę tak kochać... Nie chcę cię stracić... Jeśli zechcesz, zostawię wszystko: zajazd, morze, Przylądek i pójdę za tobą wszędzie. Ty jesteś najważniejszy i tylko cię chcę, Rush.

– Dla mnie poświęciłabyś Przylądek, zajazd i życie w nim?

– Tak! Uwierz mi.

– To nie może tak być. Jest inne rozwiązanie.

– Inne rozwiązanie? – spytała z nadzieją w oczach.

Skinął głową.

– Właśnie coś chodzi mi po głowie. Mogę kupić ten grunt, ale

nie muszę na nim budować.

– To co z nim zrobisz?

– Nic! Pozostawię ten kawałek ziemi w naturalnym stanie. Zrobię jedynie kilka zabezpieczeń, by to miejsce pod słońcem przetrwało nienaruszone, bez zgubnego wpływu techniki i cywilizacji. – Twarz mu jaśniała.

– To cudownie, Rush. Ale to nie rozwiązuje naszego problemu. Twoja firma jest przecież w Nowym Jorku...

Rush spojrział w kierunku samochodu i Alexa.

– Całą resztę oddaję w jego ręce, on da sobie radę. Ja pozostanę jedynie przewodniczącym rady nadzorczej. To pozwoli mi zająć się sprawami Przylądka, na przykład brać udział w pracach miejscowego komitetu planowania przestrzennego. – Potarł w zamyśleniu brodę. – W międzyczasie doczekamy się sporej gromadki dzieci, więc będę musiał mieć dość czasu, by ich uczyć pływać, łowić ryby, zbierać muszle i ślimaki, sterować łódką... To jest praca na całe życie.

– Rush! – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Mówisz serio?

– Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny, niż w tej chwili. Kiedy przed godziną wysiedliśmy z samochodu i otoczyła nas ta wspaniała bujna przyroda, zrozumiałem, że mam wybór! Zapewnimy naszym dzieciom przyszłość, na jaką zasługują.

Zapatrzył się na ocean pełen wewnętrznego spokoju.



– Któregoś dnia, kiedy będziemy już starzy, wrócimy we dwoje tu, na ten skrawek ziemi i patrząc na ocean, przypomnimy sobie dzisiejszy dzień – powiedziała Libby i wtuliła się w Rusha świadoma, że znalazła dom, który jest odtąd ich wspólnym domem.